EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 19 lutego 1933 R. | NR. 8 (21)

Przeobrażenia w psychice mas

Szakale

Dzieje grzechu demokracji tchórzliwej

W kopalni piękna

Światła i cienie sportu w Polsce

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Teatr. Najnowsze książki.

AUTORZY: KRAHELSKA, GARCZYŃSKI, WAJNRYB, WASOWSKI, STEMPOWSKI, KORNACKI, SYMONOLEWICZ, LUKREC.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

BARBARZYŃCY

Na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego gromada akademików obrzuciła jajami i pobiła prof. Wałek-Czarneckiego. Napastnicy uciekli, unikając odpowiedzialności za swój czyn. Barbarzyńcy i tchórze, zasługujący tylko na pogardę.

Napaść ta nastąpiła niewątpliwie w związku z przemówieniem prof. Wałek-Czarneckiego na posiedzeniu komisji oświatowej Sejmu. Prof. Wałek-Czarnecki bronił rządowego projektu nowej ustawy o szkołach akademickich.

P. minister Jędrzejewicz, potępiając to zdziczenie, słusznie zauważył, że takim oto terrorem walczy się o „wolność myśli"...

Prasa Obozu Wielkiej Polski i tym razem nie zdobyła się na potępienie napastników.

Haniebne te praktyki, których ofiarą padło już kilku profesorów, potwierdzają słuszność zasady, której daliśmy wyraz w „Epoce", mianowicie: — *pełna autonomja wyższych uczelni, jeśli chodzi o wolność nauki*, zarazem zniesienie tych przywilejów młodzieży akademickiej, które ułatwiają jej swawolę, gwałty i bezkarność.

Słusznie też powiedział prof. dr. Mieczysław Wolfke w wywiadzie, udzielonym „Epoce" (Nr. 5 z dn. 30 paźdz. 1932):

— „Co się tyczy zagadnienia opieki nad młodzieżą, jaką ma roztaczać uczelnia, to powinna ona, mojem zdaniem, rozciągać się jedynie na te sfery życia młodzieży, które są związane z głównym celem uczelni, to jest — nauczaniem. We wszystkich innych dziedzinach życia młodzież powinna podlegać, jak każdy obywatel, ustawom ogólnopaństwowym".

OBRAZKI ZE WSI

Podczas obrad Komisji Budżetowej w Sejmie liczni posłowie, piastujący mandaty z okręgów wiejskich szeroko rozwodzili się nad obecnem zubożeniem warstwy włościańskiej i twierdzenia swoje popierali szeregiem drastycznych przykładów.

Między innemi spadek konsumcji nafty, wywołany jest tem, że ludności wiejskiej nie stac już na oświetlanie chat lampami naftowemi i dlatego lampy zastępuje się łuczywem, a nawet na Polesiu — piskorzami. W lecie chłopi łapią tłuste piskorze, suszą je, przewlekają przez nie włókna konopne i w zimie używają do oświetlania chałup.

Zapałka również stała się przedmiotem zbytku. Jedną zapałkę dzieli się przez oszczędność na dwie części, albo wogóle nie używa się ich, posługując się tylko krzesiwem, lub podsycając na kominie wieczny ogień.

Spadła również konsumcja soli jadalnej, której cena jest dziś zbyt już wygórowana dla chłopa. Wzrosło natomiast użycie nieoczyszczanej soli bydlęcej na potrzeby ludzi.

Ceny inwentarza żywego są wprost groteskowe. W lubelskiem sprzedano niedawno sześć koni za łączną sumę 128 zł. Cielę kosztuje najwyżej 4 zł., t. j. tyleż, ile w restauracji miejskiej dwa kotlety z tego cielęcia.

Brak gotówki na wsi jest tak wielki, że chłopów mających rozprawę sądową w miasteczku odległem o 80 km., nie stać na bilet kolejowy, chodzą więc na rozprawy piechotą tam i z powrotem.

Jak dalece trudno o zarobki i jak rozpaczliwie potrzebuje ich ludność, nie gardząc najdrobniejszym dochodem i niewspółmiernym do wysiłku, świadczy fakt następujący:

Dwaj wieśniacy, z wioski położonej za Kobryniem na Polesiu, zgodzili się przypędzić piechotą do Siedlec partję wołów za wynagrodzeniem 15 zł. dla każdego z nich. Podróż ta i powrót piechotą trwały kilkanaście dni, podczas których ci ludzie żywili się chlebem wziętym z domu, a nocowali przeważnie w polu, dla mirażu jednak zarobienia zawrotnej sumy 15 zł. z radością podjęli się tego zadania i uważali to za wyjątkowe szczęście, ze względu na bardzo silną konkurencję.

GENJALNA ODPORNOŚĆ

Zacytowawszy urywek z feljetonu Wacława Rogowicza o nauczaniu religji za pomocą rysunków (Nr. 5 Epoki), wileńskie *Słowo* dodaje od siebie:

„W Wilnie dzieci polskie poznają znaczenie godła państwowego zapomocą inscenizacji polowania na orła, w Warszawie dziatwa uczy się religji, rysując Roboama i Jeroboama pod drzewem, a gdy tak wychowana przez nas młodzież trafia do uniwersytetów, załamujemy ręce i narzekamy na niski poziom naukowy studentów, oraz na ich płytką religijność!.... O, nie! nasza młodzież jest wyjątkowa, jest bez przesady genjalna, jeżeli po stosowaniu na niej pedagogicznych metod najnowszej marki, nie zatraca do reszty zdrowego rozsądku..."

Z TRAGICZNYCH PRZYCZYN WESOŁE RZEMIOSŁO

Prasa wiedeńska donosi, iż w kawiarniach stołecznych coraz częściej daje się widzieć pewien szczególny typ gości, którzy płacąc za pół czarnej, ciągną zyski często nader lukratywne napozór z bezczynnego siedzenia przy stolikach. Są to t. zw. „zawodowi sprzedawcy kawałów". Rzecz oczywista, iż taki „sprzedawca" nie tylko czerpie dowcipy z mało znanych czasopism zagranicznych, lecz obdarzony być musi szczególną zdolnością tworzenia nowych, aktualnych kawałów, które też w różnej są cenie, zależnie od stopnia niecenzuralności. System międzystolikowego telefonu, będącego w użyciu w większości kawiarni wiedeńskich znakomicie ułatwia „wytwórcy tłustych świństw" rozpowszechnianie swego towaru. Po zawarciu formalnej umowy telefonicznej, sprzedawca przysiada się do stolika klijenta, który po chwili wyciąga z portfelu pieniądze, rycząc ze śmiechu. Podobno nie zdarzyło się jeszcze nigdy, by rozczarowany klijent odmówił zapłaty za „kupiony towar". W każdym bądź razie policja wiedeńska nie była jeszcze wzywana z tego powodu...

Zawodowi sprzedawcy kawałów, którzy przeważnie w liczbie pięciu „urzędują" w każdej z większych kawiarni i nie dopuszczają do swego „rejonu" innych „wynalazców", rekrutują się głównie z bezrobotnych umysłowych. Ze względu na to policja wiedeńska patrzy przez palce na kawiarniany handel kawałami, chociaż chodzą słuchy, że „przedsiębiorcy" trudnią się przy tej okazji stręczeniem tajnych domów gry, nierządu i t. p.

ZA POKOJEM

W dniu 6 b. m. minął rok od dnia, w którym kobiece organizacje międzynarodowe urządziły w Genewie wielką manifestację na rzecz rozbrojenia. Manifestacja ta odbyła się 3 dni po otwarciu obrad Konferencji Rozbrojeniowej.

Przez ulice Genewy przeciągnął wielki pochód kobiet, delegowanych z różnych krajów, przejechały udekorowane samochody agitacyjne, wiozące skrzynie z petycjami do Prezydjum Konferencji. W petycjach, podpisanych przez 6.000.000 osób, kobiet i mężczyzn, domagano się jaknajrychlejszego rozpoczęcia realnych prac, które doprowadziłyby do rozbrojenia świata.

I z Polski zawieziono do Genewy petycje z podpisami, zebranemi przez organizacje kobiece. Grupa Polek z emblematami polskiemi reprezentowała Polską Ligę Pokoju i Wolności w pochodzie genewskim.

Od tego czasu minął rok, a Konferencja Rozbrojeniowa gubi się w nieistotnych kwestjach i projektach.

W pierwszą rocznicę wielkiej manifestacji pokojowej kobiece organizacje międzynarodowe urządziły w stolicach 40-tu państw zebrania, akademje i odczyty.

Istniejący w Warszawie Komitet Rozbrojeniowy Polskich Organizacyj Kobiecych, z Ligą Pokoju i Wolności, oraz Związkiem Pracy Obywatelskiej Kobiet na czele, urządził kilka zebrań z referatami i dyskusją na temat rozbrojenia i organizacji pokoju w poważniejszych organizacjach kobiecych stolicy.

W SZWAJCARJI

W latach 1926-29, czyli w okresie największej prosperity ruchu turystycznego w Szwajcarji, hotelarstwo, jeden z podstawowych przemysłów tego kraju zatrudniało 65.000 osób w 8.000 zakładów, płaciło państwu do 12 miljonów franków tytułem podatków, oraz będąc największym konsumentem płodów rolnych, wydawano na „koszta kuchenne" przeszło 180 miljonów franków rocznie. W tym samym czasie kapitały inwestowane w przemyśle hotelarskim wynosiły przeszło dwa miljardy franków, podczas gdy koleje, druga podstawa szwajcarskiego ruchu turystycznego obracały kapitałem zakładowym wysokości 3 miljardy 800 miljonów franków.

Począwszy od 1930 roku, frekwencja na kolejach szwajcarskich zmniejszyła się o 3 miljony osób, dochody spadły w ciągu 1931 roku o 9 miljonów franków, natomiast ruch cudzoziemców przyjezdnych zmalał o 50 do 60% w ciągu dwuch lat ostatnich, wskutek czego frekwencja gości w przemyśle hotelarskim zmniejszyła się w 1931 roku o 40%, a w sezonie zimowym 1932 — o 60%.

W celu złagodzenia przebiegu kryzysu Rząd Federalny przeznaczył narazie 3.500.000 franków tytułem subsydjum dla przemysłu hotelarskiego, zakazał rozbudowy istniejących zakładów hotelowych, otwierania zakładów nowych, oraz ogłosił moratorjum dla tego przemysłu do roku 1936 włącznie.

POGRZEB GALSWORTHY'EGO

Zwłoki Galsworthy'ego, zgodnie z jego życzeniem, wyrażonem w testamencie, zostały spalone w krematorjum — w Woking pod Londynem. W krematorjum obecni byli tylko najbliżsi członkowie rodziny, służba domowa i kilku przyjaciół. Nie złożono żadnych kwiatów, zamiast których wpłynęły liczne datki na fundusz dla bezrobotnych.

PRZEOBRAŻENIA W PSYCHICE MAS

W psychice zbiorowej mas odbywa się obecnie znamienne przeobrażenie: w poczuciu własności i w pojęciach o niej. Rozumiemy chyba, że ogromny wzrost, dajmy na to, kradzieży kolejowych o 90% w Warszawie w r. 1932-im, nie oznacza wzrostu liczby *złodziei zawodowych* w tym, a chociażby zbliżonym do tego, stosunku. Oznacza natomiast, że w mózgu człowieka, który rękę wyciągnął po chleb ze stragana czy węgiel z wózka, załamało się przekonanie, iż nie wolno mu, ginąc z głodu, wziąć tego chleba, lub marznąc w nieogrzewanem mieszkaniu — wziąć tego węgla. Spowiedzi bezrobotnych w ich pamiętnikach*) wyraźnie świadczą o przeobrażeniach w pojęciach tych ludzi, w przytłaczającej większości, jak widać, uczciwych, pracowitych, czasem ofiarnych, dobrych obywateli i Polaków. Zajrzyjmy do tych dokumentów.

„Nie mają za co kupić węgla lub drzewa, zarobek ich starcza zaledwie na życie takie, które nie pozwala im już umrzeć, palą tym węglem, który ich synek uzbiera na szosie, który zlata z wozów, jadących z kolei do składów" (opis znajomej rodziny, pamiętnik Nr. 24, str. 257). „Znając dobrze z wycieczek okolice Olsztyna, zanocowałem w lesie pod skałą. Rano wstałem zmarznięty i głodny. Z głodu zmuszony byłem kraść. Chłop, który koło lasu orał, zostawił chleb i marynarkę na miedzy, a gdy nie widział, chleb mu zabrałem..." „Znów głodny przystąpiłem do pracy. Pracowałem w kuchni. Zapach pieczonego mięsa uderzył mnie nie do wypowiedzenia. Że prosić nie śmiałem, a kotletów było dużo, postanowiłem ukraść. Zamiar mój wykonałem. Gdy wyszła służąca, skradłem kotleta i kawałek chleba, które zjadłem w ustępie. W drugim dniu byłem śmielszy, opowiedziałem jej..." (str. 285, 288). „Szereg przejść miałyśmy przez przeciąg czterech miesięcy, nieraz nie miałyśmy co jeść, co niejednokrotnie skłaniało nas do łasowania naszej gosposi — to chleba, to ziemniaków, to znowu cukru" (str. 495). „Raz w zimie zauważyłem, jak dwóch robotników zrzucało węgiel z wozów na ulicę, a potem łopatami do otwartego okienka piwnicy. Obok była kupa śniegu. Zrobili oni nieznacznie dół w tej kupie i rzucili dobrych kilkadziesiąt łopat węgla w ten dół, przykrywając śniegiem. Wiedziałem co dalej będzie. Przyjdą wieczorem i cichaczem zabiorą ten węgiel, lecz ja uprzedziłem ich, poszedłem wieczorem z workiem, żona stała na straży, a ja rękami odgrzebawszy śnieg, nabrałem pełny worek!... Głód... Wygląda to tembardziej ironicznie, że naokół jest pełno żywności. Z poza wystaw sklepowych wznieją stosy kiełbas, pieczywa, cukrów, a w powietrzu unoszą się zapachy, wybuchające z różnych jadłodajni" (str. 565, 566). „Ja całe lato nosiłem z żoną drzewo z lasu na plecach, aby zapalić i ugotować jedzenie dla dzieci, to plecy moje, jak też i żony to są tak zdarte ze skóry od noszenia drzewa, z lasu jest około 7 kilometrów drogi, to jak był czas, to my i dwa razy dziennie szli do lasu i tak, że

*) „Pamiętniki bezrobotnych". Instytut Gospodarstwa Społecznego. Warszawa 1933.

trzeba było i na zimę trochę oszparować, ażeby teraz było czem w zimę zapalić" (str. 572)

Nie przemawiają tu złodzieje zawodowi ani przestępcy, tylko ludzie, w psychice których niezawiniony głód i nędza zakwestjonowały słuszność pojęcia własności.

We współczesnem życiu polskiem dają się obserwować, w tym najcięższym roku kryzysowym, mnogie zjawiska, świadczące o przeobrażaniu się zapatrywań i pojęć o własności w szerokich warstwach ludności nieposiadającej, ciężko dotkniętej nędzą. Do zjawisk tych zaliczam takie np. masowe wyprawy bezrobotnych na pola ziemniaczane, w których niekiedy brało udział po kilkaset osób. Jakże to wyglądało? Olbrzymia gromada ludzi, pochylonych wpół, częściowo (starzy) na klęczkach, skupionych, o surowych, poważnych wyrazach twarzy, zajętych wykopywaniem ziemniaków... Wywrotowcy? Przestępcy?... Skądże znów! Ludzie, w psychice których załamało się przekonanie o słuszności jednoczesnego: marnowania się w polu czyichś niewykorzystanych ziemniaków i konania z głodu rodzin z dziećmi.

Wyodrębnić nieco należy zjawisko wyrąbywania, wywożenia drzew z lasu, gdyż to nie jest zjawisko nowe: przekonanie, że „ziemia niczyja, ziemia — Boga", plastycznie wyrażone wśród chłopów rosyjskich, głęboko i zdawien - dawna tkwi również w psychice polskiej ludności włościańskiej. Na tem tle miewały i dawniej miejsce dzikie, niesamowite wyczyny rozmaitych stopni służby dworskiej, czasem i samych „dziedziców"; jeżeli zaś dziś dzikość, bezmyślność takiego sposobu reagowania, z interpelacyj o tych wypadkach, szczególnie nas razi i boli, to dlatego, że dziś w przytłaczającej większości wypadków są to bezrobotni, — którzy dążą do lasów po drzewo na opał do zimnych mieszkań, w których skazani są na głodowanie.

Do zjawisk wybitnie kryzysowych i zjawisk, świadczących o przeobrażeniach w psychice, należą takie wypadki, jak gromadne zabieranie bochenków chleba z furgonów piekarskich przez bezrobotnych, udawanie się do jadłodajni dla zjedzenia obiadu, za który się niema możności zapłacić. W Radomiu np. miał miejsce tego rodzaju wypadek: do jadłodajni przyszedł bezrobotny (pracownik umysłowy), zjadł obiad, poczem na żądanie zapłaty za obiad pokazał swą legitymację i oświadczył, że dłużej nie jeść nie był już w stanie. Ponieważ właścicielka jadłodajni zawezwała policję, a następnie z tego powstało jakieś dłuższe dochodzenie, — bezrobotny ten był przez dłuższą chwilę przedmiotem obserwacji znacznego grona osób. Otóż postawa tego człowieka całkiem wyraźnie zdradzała, że ma głębokie przekonanie o swej słuszności moralnej: obiad mu się należał.

Zresztą dziś przyczynków do zrozumienia psychicznej postawy bezrobotnych dostarczają takie zjawiska międzynarodowe, jak marsze głodnych. Kwestja ta została poruszona w Epoce, w artykule p. Muszałówny „Głodni maszerują" i p. Wasowskiego „Jesteśmi osaczeni". Marsz głodnych — nie jest to już postawa błagania o jałmużnę: jest to postawa żądania słusznej należności.

W życiu współczesnem polskiem jest jeszcze jedno zjawisko, bardziej znane i zbadane od wypraw po ziemniaki, po żywność, a niezmiernie interesujące pod tym samym kątem: przeobrażeń w zbiorowej psychice mas, charakteryzujących okres przełomu ustrojowego. Jest to zjawisko t. zw. „bieda — szybów", (terenów węglowych nieeksploatowanych przez właścicieli), czyli dzikiego kopalnictwa z terenu śląskiego o ludności kulturalnie i oświatowo nierównie wyższej od ludności innych dzielnic Rzeczypospolitej. Jakie rozmiary przybrało to zjawisko, sądzić można ze statystyk urzędowych, z reguły nigdy nie obejmujących całokształtu zjawiska, gdyż pewna ilość wypadków wymyka się zawsze z pod takiej urzędowej rejestracji. Stąd czerpiemy wiadomość, że w jesieni ubiegłego roku liczono na Śląsku do 2300 „bieda - szybów", zatrudniających łącznie do *12 tysięcy bezrobotnych.* Rozmiary tego zjawiska charakteryzuje i taki fakt, że z produkcji „bieda - szybów", w pewnym okresie do Krakowa przybywało dziennie 300 — 400 tonn węgla. „Bieda - szyby", które ku końcowi r. ub. uległy likwidacji ze strony właścicieli i władz, były to poprostu całe zorganizowane osiedla pracy ludzkiej: widzieliśmy tu bezrobotnych z furmankami, końmi, ze swemi rodzinami, dziećmi, kołyskami, w spokojnej postawie żmudnej pracy. Któż rozsądnie myślący podciągnie tych ludzi pod miano żywiołu przestępczego?

A przecie została tu czynnie zlekceważona przez bezrobotnych kwestja własności podkładów węgla i wskutek tego nie znaleziono innnego rozwiązania, jak likwidacja tego bądź co bądź warsztatu pracy kilkunastu tysięcy bezrobotnych!

Zjawisko „bieda - szybów" mogę ująć w pewnej retrospekcji, gdyż dzięki badaniom skutków społecznych bezrobocia z ramienia Instytutu Spraw Społecznych przeprowadziłam (między innemi) dokładne badania sytuacji życiowej rodzin bezrobotnych górników w powiecie Świętochłowickim, w Rudzie Śląskiej. Badania te odnoszą się do okresu luty — marzec 1932 roku, dotyczą grupy 142 rodzin bezrobotnych - górników pow. Świętochłowickiego (przeważnie — z Rudy Śląskiej) i pozwalają uchwycić interesujące nas zjawisko rewizji stosunku do własności, a w tem i zjawisko „bieda - szybów" w początkowej fazie jego rozwoju.

Ponieważ rodziny te były badane na podstawie obszernego kwestjonarjusza, w którym odpowiedzi na pytania zebrał i wypełnił nasz korespondent społeczny (sam górnik-bezrobotny), — udało się zebrać bardzo bogate materjały o położeniu tych rodzin, które tu w kilku słowach streścimy. Grupa tych rodzin górniczych, których żywiciele przeważnie od paru lat już byli bez pracy, należała pod wszelkiemi względami do najbardziej upośledzonych. Dane co do mieszkań dla 122 rodzin wyglądają następująco: w 80% wypadków są to mieszkania jednoizbowe; 122 rodziny łącznie stanowi 837 osób (wraz z domownikami), czyli przeciętnie wypada 5.8 osób na izbę; sublokatorzy w tych mieszkaniach wynoszą 13.4% w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców w tych rodzinach; stan posiadania bielizny jest taki, że 113 rodzin nie posiada już żadnej zmiany (tylko to, co na sobie); zadłużenie mamy w 112 rodzinach, 65 rodzin zalega już za komorne ponad 12 miesięcy; długi poza komornem wypadły przeciętnie na rodzinę w sumie 410 złotych; co do wyprzedaży mebli, to dokonano już jej w 82 rodzinach; w ogólnej liczbie 229 dzieci w wieku szkolnym tylko 27 (11.7%), może uczęszczać do szkoły bez przerw: reszta z powodu braku ubrania (123 dzieci), lub z powodu osłabienia i chorób (79) nie może uczęszczać regularnie do szkoły w zimie. Na terenie tej, tak straszliwej nędzy, wystąpiło zjawisko samopomocy i solidarności robot-

niczej: badając stan oświetlenia mieszkań, znaleźliśmy, że w 29% wypadków (34 rodziny) karbid do oświetlenia mieszkania dostarczają dawni towarzysze pracy, znajomi, przyjaciele, z liczby zaś 78 rodzin, które jeszcze korzystały z elektrycznego światła, w 6 wypadkach płacili krewni lub znajomi. Pytanie, dotyczące ogrzewania mieszkania, było tym kluczem, który otworzył nam oczy na nowe, powstające zjawisko dzikiego kopalnictwa. Otóż na 142 rodziny tylko 23 (a więc 16.2%) opalało izbę węglem, otrzymanym w drodze całkiem legalnej, t. j. z kupna, od krewnych lub znajomych, z opieki społecznej i jak się zdaje, nie korzystało z żadnego innego węgla. 119 rodzin (83.8%) opalało mieszkanie węglem, zdobywanem poza kupnem, czyli — węglem, w tej czy innej formie — w stosunku do obowiązujących przepisów prawnych — przywłaszczonym, (przywłaszczonym w tym sensie jest i węgiel z „bieda - szybów" ze względu na kwestję własności pokładów węgla). W tej liczbie jest dużo rodzin, otrzymujących węgiel od opieki społecznej, ale w dawkach tak nieznacznych, że starczały na opalanie mieszkania przez krótki jedynie przeciąg czasu. Ze 119 rodzin w 7 rodzinach węgiel zbierano po śmietnikach, podwórzach, z dróg i t. p.; w 100 rodzinach — zbierano węgiel z t. zw. chałd, z wałów; w 12 rodzinach pozostałych (jest to 10.7%), wydobywano węgiel w trybie dzikiego kopalnictwa, t. j. „bieda - szybów". Był to więc początek akcji. W powiecie Świętochłowickim, było w końcu ub. r. 107 „bieda - szybów" i zatrudniały one ogółem 520 bezrobotnych.

Z wywiadów wśród bezrobotnych - górników mamy kilka wstrząsających opisów wypraw całych rodzin do „bieda - szybów", oraz wypraw nocnych na wały i chałdy. Wyprawy te, w których uczestniczą małe dzieci i stare kobiety, każdy kto żyw, — mają zupełnie niesamowity charakter. Postawa psychiczna tych ludzi w wypadku wydobywania węgla z „bieda - szybów" i zbierania na chałdach jest, oczywiście, postawą niedwuznacznie głębokiego przekonania o własnej słuszności. Ale nawet w innych wypadkach, gdzie nie działa już siła wewnętrznego przekonania o wspólnej własności na ziemię i ukryte w niej dobra, — nawet w wypadkach, gdzie poprostu zabiera się cudzą własność —, przedmiot, nie mamy do czynienia bynajmniej ze „zbrodniczym elementem": ludzie ci nie poczuwają się do popełnienia przestępstwa. Na dowód przytoczę wyjątek z wywiadu w jednej z rodzin bezrobotnych, wywiadu, przeprowadzonego swobodnie (bez kwestjonarjusza), w którym zarysowuje się jednocześnie postawa badanego i badającego. „Mają mieszkanie bardzo niewygodne, bo strasznie zimne, opału otrzymywanego z gminy nie wystarcza, po resztę takowego wychodzą w nocy na zdobycz, zabierając furtki z ogrodzeń, tyczki z płota, daszek i co tylko im pod rękę przyjdzie. Mieszkania swego nie oświetlają, bo lampa elektryczna, która na drodze świeci, świeci także do ich okien. Gdy normalnie pracowano, kupowali gazety, książki historyczne i religijne. Z czynności w organizacjach i towarzystwach dobrze znany, dawał dobry przykład młodszym...

„Posiada jeszcze nadzieję, że szczęście zmienne, a moc Boga cudowna. Smutno im bardzo, gdy sobie nie mogą pozwolić na kupowanie gazet lub pięknych i dobrych książek jak zadawna... Wódki i tytoniu używali zawsze bardzo mało, od dwóch lat wcale... Pyta, jak długo jeszcze będzie trwać, nim władze nasze się rozpoznają i położą kres zachciankom dyrektorskim na Górnym Śląsku: nie wiedzą co już mają obecnie z ludem roboczym wyczyniać, jak męczyć i obdzierać".

A więc: ani wywrotowiec, ani alkoholik, ani przestępca: człowiek szanowany w swem środowisku, człowiek o pewnych aspiracjach umysłowych, — jakże to pogodzić z tym stosunkiem do furtek, ogrodzeń i t. p.? Przeobrażenie w psychice.

Nie pozostaje ono bez pewnego wpływu na opinję całego społeczeństwa. Można stanowczo stwierdzić, że likwidacja „bieda - szybów" w społeczeństwie górnośląskiem — poza właścicielami kopalń i może częścią ich personelu — w nikim nie budziła entuzjazmu. Charakterystyczny dowód stosunku do tej kwestji — bynajmniej nierobotniczych warstw, a mieszczańskiej części społeczeństwa — znajdujemy w piśmie katowickiem „Polonja", którego się nie da posądzić o sympatje dla jakichś skrajnych poglądów. Oto dwa wyjątki:

„Niektórzy krzyczeli, że to bolszewizm i zmierzch kapitalizmu. Mój Boże! Od „bieda - szybów" kapitalizm się jeszcze nie zawali, a do bolszewizmu daleko. Najwyżej byłoby drobną konkurencją dla wielkich kolosów górniczych, które przy skutecznej pomocy państwa zapewniają sobie swoje dochody. Podnieśli też krzyk wielcy kapitaliści. PKP węgli z „bieda - szybów" nie przewozi. Policja urobek „bieda - szybów" konfiskuje. Mamy poważne wątpliwości, czy takie załatwienie sprawy „bieda - szybów" jest odpowiednie".

„Ten zdrowy ruch samoobrony naszych bezrobotnych należało ująć w karby i pokierować go na drogi, zmierzające do służby społecznej. Od tego jest ustawodawstwo, aby uregulować sporną sprawę własności pokładów. Nie trzeba było nawet zwoływania Sejmu R. P. w tym celu, skoro się go nie lubi, boć Prezydent miał pełnomocnictwa ustawodawcze. Wolało się jednak likwidować zdrowy ruch samoobrony przy pomocy policji. „Święte" prawo własności właścicieli nadań górniczych jest nietknięte, reszty kapitału uratowane. Ale kilka tysięcy ludzi chętnych do pracy, ze zgrozą spogląda w przyszłość, klnie na czem świat stoi... a agitatorzy bolszewiccy z zadowolenia zacierają ręce".

Niewątpliwie nie kary i represje rozwiążą tego rodzaju zagadnienia. Czasowa zaś likwidacja pewnego zjawiska, tak np. jak to miało miejsce z „bieda - szybami", na wysadzanie w powietrze których przemysłowcy nie żałowali pieniędzy, pozostawia w psychice mas wstrząsy, napewno niekorzystne z punktu widzenia interesów państwowości polskiej.

Godną najgłębszego zastanowienia była ta zbiorowa inicjatywa bezrobotnych, dotknięta klęską kryzysu i... klęską ustroju. Obrażali literę prawa, nie uważając się za przestępców. Pracowali ciężko na nienależących do nich pokładach węgla z poczuciem słuszności swego prawa. Uznali za wyższe — prawo człowieka do pracy i do zaspokojenia potrzeb elementarnych, czego ustrój dzisiejszy dokonać nie potrafi. W tej postawie — niewątpliwie przeczącej kodeksowi — upatrywać można żywiołowe poparcie zasady, która w przyszłości zwycięży: prawa do pracy i do minimum utrzymania. Wszystko, co stoi tej zasadzie na drodze, będzie zwalczone, choćby to wymagało największych i najradykalniejszych przemian socjalnych.

Halina Krahelska

ŚWIATŁA I CIENIE SPORTU W POLSCE

Przed dwudziestu kilku latami należałem do najwybitniejszych sportowców w Polsce. Posiadałem kilka rekordów polskich, byłem delegowany na Olimpjadę w Sztokholmie. Czasami porównuję owe czasy z dzisiejszemi.

Boisko i bieżnie kopaliśmy sami. Dzisiaj sportowcy domagają się znakomitych urządzeń.

Plonem moim było kilkadziesiąt medali wyjątkowo złoconych, trochę wstążeczek i jakiś puharek. — Dzisiaj sportowiec, zanim stanie do zawodów, upewnia się o ilości i jakości nagród honorowych.

Na zawody sportowe nawet zagranicę wyjeżdżałem na koszt własny i wygody tej podróży były bardzo problematyczne. Dzisiaj pertraktacje o zwrot kosztów podróży i djet są długie i zawiłe.

Nauczyciel w gimnazjum wołał do mnie wielkim głosem: fikaniem kozłów nie przejdziesz przez życie. Kilka notatek pisanych o pobiciu przezemnie rekordów austryjackich w Wiedniu, zrobiło jaknajgorsze wrażenie przed egzaminami. Dzisiaj poziom wyników sportowych uczniów jest chlubą szkoły.

**
*

Po wielu latach przestałem być czynnym sportowcem, ale pozostałem entuzjastą wychowania fizycznego. Należałem w Polsce niepodległej do organizatorów i członków Komitetu Olimpijskiego i Związku Związków Sportowych. Była to praca trudna i niewdzięczna.

Zwracaliśmy się do poszczególnych członków Rządu do samorządów i do różnych urzędów. W większości wypadków spotykaliśmy się z wzruszeniem ramion. Rzeczywistego poparcia, chociaż w szczupłym zakresie, doznaliśmy ze strony Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Pewną pomocą był kontraktowny referat przy Ministerstwie Zdrowia.

Ludzi do pracy na naczelnych stanowiskach werbowaliśmy z trudem, — a nieraz były to wielkości fikcyjne. Bez przesady mogę stwierdzić, że każdy krok naprzód, kosztował wiele wysiłków. „Błagaliśmy" poszczególne redakcje, by raczyły przyjmować notatki z zawodów sportowych. Z dużym trudem tłumaczaliśmy potem, że redaktor sportowy może być użyteczny.

**
*

Kiedyś na Kongresie Olimpijskim rozmawiałem z p. Engströmem, członkiem szwedzkiego Komitetu Olimpijskiego.

— Widzę chwilę, — oświadczył mi — kiedy się stanę przeciwnikiem sportu.

Rozumiałem dobrze co chciał powiedzieć. Dzisiaj u nas sytuacja jest o tyle gorsza, że nie osiągnęliśmy jeszcze wysokiego poziomu wychowania fizycznego i rozwoju sportu, ale rozrosły się u nas bujnie te wszystkie objawy, które entuzjastę mogą przekształcić w przeciwnika.

**
*

Najcięższym grzechem kierowników naszego sportu jest fakt, że zapomnieli o tem, iż mają do czynienia z młodzieżą.

Sportowcy otrzymują hojnie rozdawany krzyż zasługi. Innemi słowy na to, aby go dostać, wystarczy mieć tęgie łydki i zdobyć jakiś rekord. Wieluż ludzi pracuje szereg lat społecznie i nie doczekało się tego wyróżnienia.

Jakież pojęcie o zdobyciu zasługi społecznej może mieć chłopak, który ją zdobył tak łatwo? Jakież pojęcie o tem mogą mieć setki tysięcy jego kolegów?

Rekord i sława sportowa mniej mnie rażą. Współzawodnictwo, rekord i sława sportowa zachęcają liczne rzesze młodzieży do uprawiania ćwiczeń fizycznych. Być może, że kilkuset porwie się nad siły i nadwyręży zdrowie — ale przeciętny poziom zdrowia i sprawności fizycznej podniesie się. Obecnie jest on znacznie wyższy, niż był przed kilkunastu laty.

Złą stroną naszej rekordomanji jest tylko to, że najlepsze wyniki są wyhodowane oranżeryjnie. Najlepszy wynik poto, aby być miarą poziomu, nie może zbyt daleko odskakiwać od przeciętnego poziomu. Jeżeli w Finlandji, w Szwecji, w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych odbywają się zawody sportowe — to przeważnie jest kilkunastu najlepszych, a tuż zą nimi jest kilkuset o wynikach zbliżonych. U nas jest jeden znakomity — potem długo, długo nic — a potem kilkunastu o wynikach przeciętnych. Innemi słowy, nasze wyniki na międzynarodowych zawodach przeważnie nie są miarodajne dla stwierdzenia, jaki stopnień zajmujemy w hierarchji wychowania fizycznego. Poprostu posiadamy kilka sił wybitnych, które eksploatujemy, w imię międzynarodowej reklamy.

Ta reklama jest poważna. Dla szerokich mas cały szereg wartości kulturalnych jest niedostępny, natomiast imponuje im wynik sportowy. Stąd subwencje dla międzynarodowych popisów sportowych opłacają się.

... Tylko trzeba zachować miarę. Tą miarą jest wpływ, jaki może mieć ta masa na kształtowanie się opinji światowej.

Równolegle do rozgłosu światowego naszego sportu, rosną wymagania sportowców. Tu tkwi błąd. Rozpoczyna się zawodowość. Szerzy się fałszywą ambicję. Zatracają się rygory szlachetności współzawodnictwa. Niejednokrotnie widzimy brutalność. Są to następstwa niedoceniania faktu, że wychowanie fizyczne jest fragmentem wychowania człowieka. Kierownicy naszego sportu powinni zawsze podkreślać, że wynik ćwiczeń i zawodów nie jest celem. O tem zapominają.

Z chwilą kiedy wynik fizyczny jest celem — staje się też źródłem zarobku, gdyż na nim kończy się program życia jednostki. Atleta cyrkowy, bokser zawodowy, footbalista płatny, lekkoatleta targujący się o niesłychanie wygórowany zwrot kosztów występu, tenisista otrzymujący posadę nie wymagającą ani pracy, ani obecności w biurze — to są następstwa poglądu, że wystarczy zdobyć rekord, aby być „kimś" w życiu.

Oczywiście zawsze będą i takie poglądy, ale trzeba przeszkadzać ich rozpowszechnianiu się. Niestety tego nie widzimy. Najwyżsi dostojnicy Rzeczypospolitej niejednokrotnie biorą czynny udział w uroczystościach sportowych, w czasie których apoteozuje się sukces fizyczny. Praca społeczna, naukowa, zawodowa i t. d. znajduje słaby oddźwięk i uznanie.

Reasumując: sport jest dobrą rzeczą, trzeba go popierać, — ale nie przewracajcie w głowie młodzieży.

Tadeusz Garczyński

DZIEJE GRZECHU DEMOKRACJI TCHÓRZLIWEJ

Dzień 30 stycznia 1933 roku — to data przełomowa w dziejach tragedji demokracji niemieckiej.

Demokracja niemiecka nie zdołała umocnić się po rozgromie militaryzmu pruskiego na tyle, aby, mając przez długie lata władzę w ręku, utrwalić swój byt. Jestto zjawisko wyjątkowe w dziejach politycznych Europy powojennej, aby obóz, mający w swem ręku pełnię władzy politycznej i wielkie oparcie w masach, tak beznadziejnie, tak sromotnie, bez walki, jedynie spekulacjami parlamentarnemi przehandlował i zaprzepaścił swą potężną pozycję.

***

Republikanie niemieccy, od chwili kiedy Scheidemann, uosobienie kompromisu, proklamował ludowi niemieckiemu republikę i władzę rady komisarzy ludowych, cofali się krok za krokiem przed przedstawicielami kwatery głównej.

Rząd, obawiający się ataku ze strony żywiołów skrajnie lewicowych, ku czemu miał pewne podstawy — po doświadczeniu z brygadą zrewoltowaną marynarki hamburskiej — był tak zasugerowany niebezpieczeństwem z lewa, że stopniowo ustępował pola przedstawicielom wojska.

Początkowo kwestja stała tak: jak zapewnić ochronę rządowi republiki, który wszelkiemi siłami dążył do zalegalizowania swej władzy przez zwołanie konstytuanty? Będące do dyspozycji oddziały wojskowe nie wystarczały. Egzemplum: kompromitacja późniejszego bohatera zamachowego, von Pabsta, w ataku na oddziały rewolucyjne, które uwięziły komisarza ludowego, socjalistę Wellsa.

Wielka kwatera główna, przekształcająca się pod doświadczonem dowództwem Hindenburga i jego licznych pomocników w nową siłę zbrojną, już wtedy umacniała swe wpływy, broniąc się przeciwko wszelkiej formie ingerencji republiki do spraw wewnętrznych armji.

Socjalista Noske, który przejdzie napewno do historji, jako „Bluthund" (krwawy pies) bronił po swojemu rządu. Ale zasugerowany przez wojskowych, w których otoczeniu się znalazł, popadł odrazu pod ich wpływ. Chciał bronić republiki, a w obawie przed spartakusowcami dopuścił do zorganizowania korpusów ochotniczych. Powołane do obrony rządu i ustroju republikańskiego, odwdzięczyły się temu rządowi wielu krwawemi zamachami i zbrodniami stanu.

Generalicja ciągle podkreślała, że jest do dyspozycji rządu, ale manewrowała w ten sposób, aby żaden oficer republikański do armji się nie dostał. Gdy generał Reinhardt, zdecydowany zwolennik republiki, przemawiał w duchu potrzeb wojska republikańskiego, ściągnął na siebie nienawiść kasty oficerskiej.

Posłowie socjalistyczni alarmowali parlament wiadomościami o skandalicznej nielojalności kasty wojskowej, która ćwiczyła oddziały do walki z republiką, ale rządy socjalistyczne zadowoliły się dyplomatycznemi rokowaniami z wielką kwaterą. Ilekroć przytaczano dowody o prześladowaniu żołnierzy — republikanów w szeregach armji „republikańskiej"— wojsko zawsze miało odpowiedź, że śledztwo żadnych dowodów nie wykazało.

Dowody spisku pomiędzy oficjalnemi kołami wojskowemi, a krwiożerczemi „korpusami ochotniczemi" — wojsko zawsze bagatelizowało, a rząd ustępował, bo nie czuł w sobie ani siły, ani ochoty do walki.

Reichswehra pokrywała więc milczeniem i poparciem czyny „czarnej Reichswehry", powołanej do tępienia przeciwników z obozów lewicowych, których podejrzewano o aktywną działalność nie po myśli generalicji. Tajemnice „Czarnej Reichswehry" wyjdą może kiedyś na jaw, ale to, co się do wiadomości opinji niemieckiej przedostało na kilku procesach, było dostatecznem potwierdzeniem skrytobójczej roli oficjalnej Reichswehry w organizowaniu morderstw kapturowych na zwolennikach zbyt aktywnych ustroju republikańskiego.

Jak w pierwszych latach republiki niemieckiej czynniki rządzące ustępowały zawsze wobec polityki wojska, tak później popierano już aktywnie taktykę wojska, głosowaniem za budżetami, zawierającemi olbrzymie sumy na cele militarne.

Sami socjaliści wykazywali, jak naprzykład Scheidemann, że armja niemiecka, sprowadzona do liczby 100 tysięcy żołnierzy, pochłania znacznie więcej pieniędzy, niż przedwojenna miljonowa armja cesarska. Ale mimo to socjaliści nie mieli odwagi, aby uniemożliwić swem głosowaniem program budowy pancerników.

Nie można powiedzieć, że rządy demokracji republikańskiej w Niemczech nie dały żadnych wyników dodatnich. W Prusach nprz. rządy te przeorały całkowicie ustrój federalny, dając ludowi prawa demokratyczne, których nie mógł zdobyć za cesarstwa.

Reformy społeczne były niewątpliwie dziełem tych rządów.

Ale ilekroć szło o siłę polityczną, — demokracja niemiecka unikała walki, zaufawszy ślepo chwilowemu układowi sił. Ostatnia próba walki — to akcja wyborcza na prezydenta w roku 1925. Przekonawszy się, że Hindenburg nie myśli gwałcić konstytucji, na którą przysięgał, oddała się lewica niemiecka błogiej drzemce. Stary, lojalny feldmarszałek na czele państwa — wierna tarcza republiki i konstytucji — czegoż więcej potrzeba?

Hindenburg był w istocie lojalny, konstytucji nie gwałcił, współpracował z kanclerzem socjalistycznym, Muellerem, któremu chciał nawet, po upadku gabinetu koalicyjnego, powierzyć rządy pozaparlamentarne, t. j. z mocą rządzenia na podstawie dekretów.

Wtedy poraz pierwszy gen. Schleicher ujawnił właściwe oblicze Reichswehry, oświadczając prezydentowi, że w razie udzielenia pełnomocnictw socjaliście Muellerowi, minister Reichswehry natychmiast ustąpi. I na poparcie tych słów zaprezentował prezydentowi podanie dymisyjne gen. Groenera. Reichswehra upomniała się wówczas po raz pierwszy o pełnię władzy, chociaż nie domagała się odrazu przejęcia tej władzy.

***

Reichswehra przygotowywała skrycie stopniowy upadek wpływów demokracji, starając się doprowadzić jej stan posiadania do takich rozmiarów, aby udział jej w rządach był nie do pomyślenia. Demokracja, ugrzązłwszy w polityce koalicji, nie chciała dać wiary zawołaniu jednego ze swych szczerych obrońców, ministra Wirtha, że „wróg stoi naprawo".

Wierzono w trwałość sojuszu z centrum katolickiem, a nie wierzono w akcję bezpośrednią, w odwoływanie się do woli masy, której uświadomienia zaniedbywano. Przywódcom socjalizmu niemieckiego uśmiechały się wygodne pozycje na stanowiskach administracyjnych, prezydentów i nadprezydentów prowincji i regencji.

Góra partyjna odsuwała się od dołu, a tymczasem prawica, poparta przez oficjalne czynniki wojskowe i przemysł, hodowała na ciele republiki najgroźniejszego jej przeciwnika i wroga — partję narodowych socjalistów, która głosząc hasła radykalizmu i szowinizmu, miała się stać odtrutką na tendencje prawdziwego postępu.

Gdy niebezpieczeństwo stawało się groźne, gdy dla ratowania stanu posiadania należało wyjść wreszcie z bierności i podjąć akcję masową, sądziła demokracja, że policja pruska i feldmarszałek, przekonany prawicowiec, obronią republikę i uwolnią od tej walki.

Policja istotnie znajdowała się w ręku socjalisty, ale pewnego dnia socjalistę usunięto w drodze „małego zamachu stanu", a stary Hindenburg nie kruszył kopji o rząd swego „przyjaciela" socjalisty Brauna. Zamiast tedy porzucić balast koalicyjny i wieczne tolerowanie rządów Brueninga, rządów konserwatywnych, niepopularnych, socjaliści niemieccy najbardziej obawiali się wyjścia z koalicji. Za cenę niedopuszczenia Hitlera do władzy, gotowi byli ponieść największe ofiary, głosować na Hindenburga, zawieszać prawa parlamentu, popierać system rządzenia wbrew parlamentowi ustawami wyjątkowemi.

Największa mądrość polityczna socjalisty Welsa,— tolerowanie Brueninga, który trzymał się jedynie sztuczkami i dekretami, okazać się musiała w świetle doświadczeń późniejszych katastrofalnym błędem politycznym ongiś silnego stronnictwa.

Gdy więc przyszła konjunktura niepomyślna, demokracja nie okazała zdolności życiowej i żadnej chęci do walki. Gdy generał Groener, w końcowem stadjum rządów Brueninga, objął obok ministerstwa Reichswehry, również tekę ministra spraw wewnętrznych, rozległ się na łamach urzędowego organu partji socjalistycznej „Vorwaertsu" głos zachwytu. Nadzieję obrony republiki przeciw kohortom Hitlera pokładano w Reichswehrze, tej Reichswehrze, której faktyczny kierownik gen. Schleicher stale spiskował z Hitlerem i jego otoczeniem, a przyjmując u siebie w domu reprezentacyjnym Reichswehry byłego następcę tronu, odprowadzał go w pokłonach, wedle przepisów ceremonjału dworskiego, aż na ulicę.

***

W Niemczech, jak i w innych krajach, załamanie się demokracji dokonało się z chwilą, gdy zabrakło jej odwagi do walki na śmierć i życie z zarazą szowinizmu. Z obawy, aby ich nie oskarżono o brak patrjotyzmu, głosowali socjaliści za budżetami pancerników, kompromitując w ten sposób swój program wśród mas. Z obawy o zarzut niedostatecznego patrjotyzmu poddawała się demokracja niemiecka demagogji nacjonalistycznej. Teror sugestji nacjonalistycznej załamał przywódców demokracji, odbierając jej wszelką siłę i zdolność działania, szukania oparcia w masach. Gdy opary ruchu hitlerowskiego opanowały już tak dalece mózgi przywódców, że dół zajął groźną pozycję, okazało się, że masy prą do czynu, ale przywódcy wciąż trwają przy „tolerancji". Kompletny paraliż woli przywódców, hasło trzymania się „ram konstytucji", gdy wróg deptał ją na każdym kroku — oto znamiona szczególne taktyki demokracji niemieckiej.

Cechowała ją tchórzliwość od pierwszej chwili, aż po dzień dzisiejszy. Brak odwagi w kapitalnych zagadnieniach, deklamacja na temat współżycia ludów przy równoczesnem tolerowaniu wszechwładzy kół wojskowych i poddawaniu się sztucznie hodowanej psychozie antypolskiej — oto, co demokracji niemieckiej odbierało prawo do nazywania się demokracją.

W odniesieniu do spraw polskich tylko nieliczna garstka światłych Niemców zdobyła się w pierwszych latach na wystąpienia słuszne i sprawiedliwe. Partja socjalistyczna dała natomiast ze swego grona takie figury, jak słynnego Hoersinga, który walkę wolnościową ludu polskiego przeciw gnębicielom pruskim topił w kałużach krwi. Tylko nieliczni Niemcy mieli odwagę przyznać Polsce prawo do odzyskania ziem zrabowanych.

Demokratów, którzy jeszcze teraz w Niemczech są tego zdania, możnaby policzyć na palcach jednej ręki. Natomiast cała niemal demokracja niemiecka zajmuje front jednolity z kierunkami skrajnego szowinizmu, jeśli chodzi o ponowne zrabowanie Polsce Pomorza. Ministrowie socjalistyczni, zarówno Rzeszy jak i Prus, którzy zjawiali się oficjalnie na terenach pogranicznych, zawsze dbali o to, aby podkreślić wobec ziomków, że pragną ziemie polskie od Polski oderwać.

***

Pełna zakłamania wewnętrznego, poza garstką pacyfistów, musiała demokracja niemiecka zejść do żałosnej obecnej swej roli w Niemczech, albowiem:

Nie miała woli ku temu, aby zdobytą bez walki władzę utrzymać przez narzucenie ludowi pewnego określonego programu i przez stworzenie siły zbrojnej, należycie kontrolowanej, dla obrony republiki.

Nie miała woli i chęci ku temu, aby spiskującą siłę zbrojną skompromitowanej monarchji ujarzmić.

Nie potrafiła, w konsekwencji tej słabości, przeciwstawić się akcji politycznej wojska i prawicy, której stan posiadania w republice nie został naruszony, a potęga materjalna — jeszcze zwiększona.

Nie miała w sobie siły i odwagi, aby przeciwstawić się świadomie i aktywnie pochodowi nacjonalizmu, który w dziedzinie stosunków polsko - niemieckich mobilizował siły, wspierany przez wojsko i przemysł ciężki.

Rozmach propagandowy i polityczny hitleryzmu, organizowany właśnie w tym celu, aby demokrację raz na zawsze odsunąć od udziału w rządzie, nie znalazł po stronie atakowanego żadnej prawie przeciwwagi.

Dlatego triumfująca prawica usadowiła się wygodnie w pałacu kanclerskim, przechodząc do ofenzywy przeciw demokracji.

Mieczysław Wajnryb

„Epoka" jest pismem niezależnem od żadnej partji czy grupy politycznej.

O D G Ł O S Y

NIESPEŁNIONY WARUNEK

Parę słów prawdy o przyznaniu Wacławowi Berentowi państwowej nagrody literackiej.

W imię czego ukrywać mamy powszechną opinję świata literackiego, że nagrodzony utwór Berenta jest najsłabszy ze wszystkich, jakie wyszły z pod pióra znakomitego pisarza? Najsłabszy ze wszystkich i wogóle słaby. Branie pod uwagę całokształtu pracy pisarskiej nie może *przekreślać* warunku nagrody: nagradzany ma być najlepszy utwór *ostatniego roku.* Temu warunkowi nie stało się zadość.

Skład jury budził w nas wątpliwości, oczywiście nie personalne. Nie było tam przedstawicieli krytyki literackiej, a twierdzenie, że dzieło literata najlepiej osądzi literat, nie uważamy za słuszne. Twórcy sami mają sądy i upodobania krańcowo indywidualne. Na konkursie muzycznym genjalny Szopen nie przyznałby nagrody genjalnemu Beethovenowi, którego muzyki nie znosił.

Przyznanie państwowej nagrody literackiej Wacławowi Berentowi ma tę tylko dobrą stronę, że ożywi zainteresowanie dziełami świetnego pisarza, które obecnie zaczęły się ukazywać w nowem zbiorowem wydaniu.

WYPACZENIE SŁUSZNEJ WALKI

Nadużycia popełnione w Związku Artystów Scen Polskich, oraz katastrofalna gospodarka poprzedniego zarządu, dały niektórym gazetom asumpt do zaatakowania podstawowych zasad organizacyjnych zrzeszenia zawodowego. W ten sposób słuszna walka o gruntowną naprawę moralną w Z.A.S.P. zostaje wypaczona i skierowana przeciw najżywotniejszym interesom zrzeszonego aktorstwa.

Oto, naprzykład, jeden z dzienników warszawskich woła:

„Czas najwyższy znieść niewolę w dziedzinie teatralnej w Polsce — i przywrócić wolność pracy. Owszem, niech żyje Z.A.S.P., niech się rozwija, niech strzeże praw swych członków — ale zasię mu do tego, aby zamykać drogę do teatrów wszystkim niezależnym jednostkom, — aby narzucać przymus korporacyjny wolnym obywatelom — i aby zabijać inicjatywę dyrektorów i wolność doboru sił aktorskich i reżyserskich z poza Z.A.S.P-u!"

Jeżeli to pisał członek Syndykatu dziennikarzy warszawskich, nie wie, widać, że już od dłuższego czasu Syndykat ten dąży do utrwalenia słusznej, zdrowej i przez świat pracy oddawna uznanej zasady organizacyjnego przymusu. Jest to jedna z tych zasad podstawowych ruchu zawodowego, która daje najskuteczniejszą broń w walce z wyzyskiem i swawolą przedsiębiorców. Wiadomo dobrze, co to znaczy owa „wolność pracy" i owa „inicjatywa niezależnych jednostek". Najprostsza to i niezawodna droga do radykalnego osłabienia organizacji zawodowej. Okrzyk „niech żyje Z.A.S.P., niech się rozwija", brzmi tu, jak ironja, albo płynie z kompletnej nieznajomości sprawy.

RYZYKOWNE PYTANIE

W artykule p. t. „Nastroje antykapitalistyczne" pisze *Dzień Polski* (Nr. 29):

„Nie było winą kapitalizmu, że musiał brać człowieka takim, jakim jest. Egoizm był zawsze tą siłą, którą najłatwiej wyzwolić i uaktywnić. Nie jego było winą, że egoizm ten stanowi dziewięć dziesiątych sił żywotnych człowieka. Czyżby miało być winą, że na egoizmie potrafił rozbudować najświetniejszą cywilizację, jaka istniała na ziemi? Że wykorzystał instynkty złe i samolubne człowieka, potępione przez religję i moralność, dla wystawienia najwspanialszego gmachu ludzkiej myśli i woli?"

To ostatnie pytanie brzmi na łamach katolickiego *Dnia Polskiego* nieco... ryzykownie. „Najwspanialszy gmach ludzkiej myśli i woli" wystawiony w sposób, przeczący religji i moralności! Wynikałaby stąd drastyczna sprawa wyboru: albo ten gmach, albo religja i moralność... Zagadnienie, powiedzmy, kłopotliwe. *Dzień Polski* wybrał... gmach kapitalizmu, przepowiadając, że „ci wszyscy, którzy na jego ruinach chcą budować jeszcze świetniejszy gmach szczęścia i dobrobytu, skazani są na najtragiczniejsze rozczarowania".

Czyli: myśl, wolę, szczęście, dobrobyt — wszystko to osiągajmy nadal drogą, przez religję i moralność potępianą. No, no!...

UPRAGNIONE WIĘZIENIE

Pisaliśmy już w „Epoce" o coraz liczniejszych wypadkach, kiedy ludzie, znajdujący się w ostatecznej nędzy, popełniają jakieś drobne przestępstwa, żeby się dostać do więzienia. Niekiedy proszą sędziego o jaknajdłuższy areszt, a po odsiedzeniu kary nie chcą więzienia dobrowolnie opuścić. Niedawno w Hessen (Niemcy) kilkudziesięciu więźniów przy pomocy kolb karabinowych usunięto z więzienia „na wolność".

O tym nowym typie więźnia pisze „Kurjer Poranny":

„Dla bardzo wielu ludzi więzienie w dzisiejszych warunkach życiowych nietylko nie jest złem, mogącem odstraszać ich od popełnienia przestępstw, ale stanowi schronisko i ucieczkę od strasznych, wprost nieprawdopodobnych okoliczności ich życia na wolności. Zima, spędzona w więzieniu, przestaje być groźna. Głód znika. Człowiek odpoczywa. Za kilka miesięcy otworzy się przed nim znowu brama więzienna i zacznie się na nowo beznadziejna wegetacja z dnia na dzień w poszukiwaniu pracy.

Ten nowy typ więźnia, którego zrodziło bezrobocie, a który sprawia napozór wrażenie przestępcy, zupełnie pozbawionego cech istotnie niebezpiecznych społecznie, może jednak z łatwością przekształcić się w przestępcę o zdecydowanych skłonnościach występnych. Człowiek, nie mający nic do stracenia, dla którego wolność przestała mieć wartość, własność prywatna jakikolwiek sens, osobnik rozgoryczony i zniechęcony, wrogo ustosunkowany do społeczeństwa i państwa, które nie mogą mu pomóc — taki człowiek przestaje liczyć się z artykułami kodeksu karnego bardzo prędko.

Kradzież i oszustwo zatracają w tych warunkach niezwykle szybko w psychice takiego osobnika cechy przestępstwa. Nie budzą w nim już odrazy, nie powodują wyrzutów sumienia, nie łączą się nawet z resztkami współczucia dla pokrzywdzonego.

Pobyt w więzieniu zetknął go bliżej po raz pierwszy w życiu z typem zawodowego przestępcy, od którego dowiedział się i nauczył bardzo wiele. To wszystko co usłyszał w celi więziennej brzmi dlań przekonywująco, wydaje mu się bowiem życiowo jedyne słuszne. Moralność i prawo natomiast są teraz już tylko czczemi frazesami, pozbawionemi jakiegokolwiek sensu.

Dotychczas nie kradł i omdlewał z głodu, postępując zgodnie z wymogami prawa, teraz spróbuje żyć w kolizji z kodeksem karnym, ale za to będzie mógł jeść codziennie. Tak robią inni, którym się wcale nieźle powodzi, tak zacznie postępować i on. Jeśli dostanie się do więzienia, to tylko na krótko: zna je zresztą i wie, że nie jest tam najgorzej.

W ten sposób odbywa się przekształcenie się przestępcy zupełnie przypadkowego w typ przestępcy recydywisty, przemiana charakterologiczna osobnika o zdrowej psychice społecznej w jednostkę o wybitnie antyspołecznem nastawieniu. Bardzo wielu zdecydowanych przestępców napewno powstaje w ten właśnie sposób. Wśród ludzi zdeklarowanych i spauperyzowanych w dużych miastach istnieje w dzisiejszych warunkach cała masa takich potencjonalnych przestępców. Przeistoczenie się ich w prawdziwych przestępców jest już tylko rzeczą przypadku.

Człowiek, nie mający nic do stracenia, nie obawia się więzienia. O tej oczywistej prawdzie pamiętać powinni ci wszyscy, którzy sądzą, że najlepszym lekarzem na wszystkie bolączki społeczne jest kodeks karny.."

TEATR

»MAJOR BARBARA« BERNARDA SHAW W TEATRZE »ATENEUM«

W tej sztuce „ząb czasu" poczynił wyjątkowo duże spustoszenie, niszcząc efekt po efekcie — w ciągu dwudziestu pięciu lat. To, co ćwierć wieku temu było „ostrzem gryzącej satyry", dziś stało się tylko niezwyłym dowcipem. Nowy paradoks, który zemścił się na Shaw, polega na tem, że rzeczywistość, potwierdzając , upowszechniając jego racje w świadomości ogółu, uczyniły je komunałami. Można, słuchając tyrad tej sztuki, pomyśleć z uznaniem dla Shaw, że już dwadzieścia pięć lat temu tak dowcipnie prześwietlał sprawy obecnie najbardziej żywotne, ale ponieważ dziś, przy elementarnem uświadomieniu społecznem, wszystko o tych sprawach wiemy, sztuka nas nie zaciekawia. Wszystko też, co można powiedzieć o obłudzie burżuazji, znamy na pamięć.

Aktualne wstawki o „kryzysie", którego wówczas nie było, o atakach powietrznych, o gazach trujących — nie ratują sztuki, o której można powiedzieć, jak o Murzynie, że już zrobił swoje... Sztuka była aktualna wtedy, kiedy ją Shaw pisał. Mamy i dziś palącą sprawę zbrojeń, wyjaskrawione jeszcze bardziej kontrasty społeczne, stokroć większą nędzę — ale na wszystkie te kwestje rzucono takie snopy światła, że nauki Shaw już się stały nieprzydatne. Może pod niejednym względem Shaw wyprzedził w kilku swych sztukach nasze dzisiejsze uświadomienie, lecz już je mamy, już nam o tem Shaw nic nowego nie powie, a nawet w odwadze sądu nieraz posunęliśmy się dalej, niż ten wielki śmiałek.

Cóż zostało z „Majora Barbary"? Kilka świetnych dowcipów, parę doskonałych, zabawnych sytuacyj. Tyle tylko ze sztuki, w swoim czasie niesłychanie odważnej.

Tak oto ze słowa „zdrożnego" zrobił się komunał, z jasnowidzenia — elementarna słuszność, z satyry społecznej — pospolity dowcip. Więc też to, co kiedyś oburzało czy cieszyło, budziło protesty czy aplauzy, dziś — troszeczkę nuży, nawet — nudzi.

I jeszcze jeden zjawił się tu moment dla sztuki tej niepożyteczny: w pewnych sprawach, dziś już tak tragicznych i potwornych, zabawa satyryczna wydawać się zaczyna reakcją zbyt błahą, a paradoks — wybiegiem zbyt łatwym.

W rzeczach, które decydują o przyszłości świata, w czasach wielkiego przełomu, potrzeba nam słów głębszych i mocniejszych, niż te, które ćwierć wieku temu były słusznie uważane za szczyt odwagi.

Inne czasy, inni ludzie — inne słowa.

J. W.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

POWIEŚĆ BEZ ESTETYZMU

(L. F. Céline: „Voyage au bout de la nuit").

Dwadzieścia lat temu, piszący te słowa, odwiedzając dwuch młodych lekarzy amerykańskich przybyłych do Europy dla dokształcenia medycznego, znalazł swych przyjaciół czytających, w tłumaczeniach angielskich i francuskich wielkie stosy książek Tołstoja, Dostojewskiego, Turgienjewa, Czechowa i innych pisarzy rosyjskich. Na pytanie, skąd pochodzi ich gust do literatury rosyjskiej, odpowiedzieli, że z obrzydzenia do powieści estetyzującej, do literatury pojętej nazbyt jako „sztuka dla sztuki".

— Kiedy czytam książkę francuską, hiszpańską lub włoską, mówił Dr. A. Mont..., mam wrażenie, że autor jest rodzajem wirtuoza, pragnącego olśnić mnie swą techniką pisarską, swym talentem, swym wyższym manjeryzmem. Jest to niby paw rozwijający swój piękny ogon intelektualny i literacki. Ogon może być nawet wcale do rzeczy, ale próżność głupiego ptaka odbiera mu wszelką powagę; patrzenie nań nie jest rozrywką dla dorosłego człowieka.

— Powieść rosyjska pozostała nieskażona przez ten fałszywy estetyzm. Pisarz rosyjski zdaje się mieć przedewszystkiem coś ważnego do obwieszczenia i przez to zmusza czytelnika do brania go również na serjo.

Dziś Dr. Mont... znalazłby już niejedną książkę francuską odpowiadającą jego gustom. Obok szkół pogłębiających wciąż kwestje formy literackiej, po wojnie zjawił się we Francji szereg pisarzy pozbawionych estetyzmu, jak Elie Faure, André Malraux, Georges Bernanos, Georges Duhamel, których powieści miały niemałe powodzenie.

Z natury rzeczy, być może, wielkie powodzenie jest udziałem powieści nie-estetyzujących, jakkolwiek liczba koneserów i wtajemniczonych, do których zwracają się pisarze formiści, urosła dziś na świecie do rozmiaru nieprzejrzanych tłumów. Żadna jednak z powojennych francuskich powieści nie-estetyzujących nie osiągnęła, z racji samych swych wartości literackich, powodzenia równego temu, ja-

kiem cieszy się od trzech miesięcy powieść L. F. Céline'a (pseudonim): *Voyage au bout de la nuit.*

Powieść ta jest rodzajem olbrzymiej spowiedzi, opowiadającej przygody dwuch ludzi biednych, ściganych przez niepowodzenia, z trudem przebijających się przez życie i jednocześnie straszliwie trzeźwych, pozbawionych w ich cierpieniach jakichkolwiek złudzeń i nadziei, jakiejkolwiek pocieszającej wiary lub filozofji. „Bez Boga i bez pieniędzy", pozbawieni żywszych instynktów społecznych, dwaj bohaterowie powieści idą w największej samotności, z której jednak nie robią żadnego systemu, żadnego sposobu bycia, wzorem Rousseau lub Amiela. Sylwetki i gesty ich w swej bezpośredniej prostocie i szczerości przypominają jak gdyby dwuch bohaterów filmu René Clair'a *A nous la liberté,* z tą różnicą, że przyjaciele Céline'a są pełni goryczy i melancholji.

Kobiety grają w powieści tylko role drugorzędne, natomiast w sposób wnikliwy przeprowadzona jest analiza przyjaźni pojętej nieco niby pewna forma fatalizmu. Dwaj przyjaciele poznają się przypadkowo podczas wojny i, również przypadkowo, spotykają się w różnych innych okolicznościach. Jeden z nich, w którego imieniu, w osobie pierwszej, prowadzone jest opowiadanie, po szeregu upadków i wyprostowań zostaje (jak autor powieści) lekarzem i stwarza sobie pewien uporządkowany tryb życia. Drugi schodzi na coraz niższe szczeble drabiny społecznej, popełnia przestępstwa i w końcu powieści ginie z ręki zawiedzionej kochanki, kończąc w ten sposób swój *voyage au bout de la nuit.* Drogi przyjaciół rozchodzą się coraz bardziej, pozostaje między nimi niezmiennie rodzaj koleżeństwa, które nakazuje młodemu lekarzowi nachylać się ze współczuciem nad cierpieniem i upadkiem swego towarzysza podróży. Uczucie koleżeństwa nie wyklucza całkowitej trzeźwości ich wzajemnej oceny. Opowiadający odsłania bez ogródek całe smutne i biedne wnętrze swoje i przyjaciela.

Możnaby powiedzieć, że potrzeba sformułowania i wypowiedzenia swej prawdy, swego smutku i ubóstwa jest jedyną nicią łączącą jeszcze opowiadającego ze światem, ostatnią deską ratunku, utrzymującą go na powierzchni nieżyczliwego dlań życia. Namiętność uświadomiania sobie i formułowania swego cierpienia, będąca napozór jedynym czynnikiem porządkującym nierozwidniony niczem chaos życia, pozwala przypuszczać, że powieść Céline'a może mieć charakter autobiograficzny. Czytelnik doznaje wrażenia, że autor zawisł cały na słowach swego opowiadania i, kiedy przestanie mówić, życie jego zgaśnie wyczerpane. Stąd, być może, pochodzi ogromne napięcie, z jakiem czytelnik, stronica za stronicą, przebiega 40 wielkich arkuszy powieści, i głębokie wrażenie, które pozostaje w jego pamięci przez długi czas jeszcze po zamknięciu książki.

Opisana przez Céline'a melancholja życia bez wiary społecznej czy religijnej zdaje się zapewniać mu życzliwe zainteresowanie katolików i innych czytelników wierzących, którzy zapewne zechcą powiedzieć nam: patrzcie, jak wygląda życie niepocieszone żadną wiarą. Z drugiej strony tragiczny smutek życia ludzi biednych robi z książki Céline'a powieść społeczną, przypominającą pod wielu względami niezrównaną powieść De Foë'go *Moll Flanders.* Można przypuszczać, że omawiana tu książka, budząca tak różnorodne zainteresowania, będzie czytana przez długi czas i przejdzie do historji, jako jeden z najwymowniejszych dokumentów swojej epoki.

Pascal sądził, że najwymowniejszy jest człowiek, który ma najważniejszą rzecz do obwieszczenia, nawet gdyby mówił tylko w narzeczu dolno-bretońskiem. Powieść Céline'a potwierdza sąd Pascala, jest bowiem pisana językiem nieużywanym dotychczas w literaturze, jaskrawym i tnącym, jak nóż. Jest to język całkowicie mówiony, wyzwolony z więzów składni francuskiej, z charakterystycznem u ludu powtarzaniem podmiotu na końcu zdania, a jednocześnie pozbawiony wszelkiego manjeryzmu, zrośnięty organicznie z tem, do wypowiedzenia czego został powołany.

Oczytanych w literaturze klasycznej zainteresują u Céline'a pewne osobliwości właściwe powieści z przed okresu psychologicznego. Perypetje opowiadania nie wynikają u Céline'a z charakterów i własnych poczynań bohaterów, ale przychodzą do nich niejako zzewnątrz. Postacie opowiadania znoszą wypadki i sytuacje i muszą się do nich dociągać i ustosunkowywać. Ta i inne własności kompozycyjne powieści wskazują, że autor przemyślał znacznie więcej, niż to się przy pierwszem czytaniu wydaje, i że w powieści jego ukrywa się, być może, cała filozofja, z którą musimy się naprzód oswoić, i o której z czasem znajdzie się jeszcze niemało do powiedzenia.

Jerzy Stempowski

W KOPALNI PIĘKNA

Śród młodych pisarzy Polski Niepodległej twórczość Gustawa Morcinka przed pięciu zaledwie laty ujawniona, nie tylko swą ilościową obfitością, lecz i wartościami artystycznemi wysuwa się na pierwszy plan. Gustaw Morcinek, autor powieści „Byli dwaj bracia", odznaczonej pierwszą nagrodą literacką Poznania w 1928 r., zbioru nowel „Serce za tamą", wielkiej powieści „Wyrąbany Chodnik", nagrodzonej na konkursie śląskim w 1931 r., powieści dla młodzieży „Narodziny Serca", monografji „Śląsk" (w druku) i zbioru nowel „Chleb na kamieniu" wzrósł w środowisku górników na Śląsku Cieszyńskim i sam, między czternastym a siedemnastym rokiem życia pracował jako górnik. Jak sam powiada: — „Zwróciła na mnie uwagę p. Zofja Kossak-Szczucka — i w świat wprowadziła i do pracy zachęcała."

Jedną z ubocznych, choć jakże doniosłych zasług Morcinka, jako artysty, jest fakt, że ziemia śląska i ludzie śląscy, — wieśniacy i górnicy, stali się bliscy sercu całej Polski już nie ze względu na ich wielowiekową heroiczną wierność; nie z punktu widzenia korzyści natury gospodarczej jakie zawiera w sobie Śląsk, ale poprostu jako zjawisko artystyczne. Zasługą jest także Morcinka — artysty, jego szeroka rozpiętość skali twórczej, a więc nieograniczanie się w wyborze tematów, nie poprzestawanie na jednym modelu, nprz. życia górników, lecz ogarnianie wielu środowisk, wielu krajobrazów Śląska. Tak więc obok kopalni i wsi, mamy skoki w przeszłość historyczną, niekiedy mistrzowskie (nprz. „Ondraszkowe Ostatki"), niekiedy mniej udatne (nprz. „Burmistrzanka Gryzelda"). W związku z tem zaznaczyć wypada, iż obecnie pracuje Morcinek nad librettem do opery Feliksa Nowowiejskiego o Ondraszku, a także marzy o wielkiej powieści historycznej z XVII wieku o tymże samym Ondraszku, o słynnym zbójniku Śląskim.

Jeśli się zważy Morcinkową rozpiętość skali zainteresowań — to jakże mizernie przedstawiają się zarzuty niektórych krytyków pomawiających autora o rzekome ubóstwo fantazji, przejawiające się zarówno w powtarzaniu niektórych tematów, jak wogóle w prostocie i naiwności akcji większości utworów. Ta naiwność i prostota z czego innego wynika, a mianowicie, że Morcinek nie goni za sensacją, lecz wiernie i prawdziwie opisuje życie górnika, czy chłopa śląskiego, które jest właśnie proste, surowe w swej naiwności i chociaż wykazuje potężną dynamikę przeżyć, to jednak ilościowo przeżycia te przedstawiają się ubogo. Smakosze literaccy, o popsutych żołądkach i zębach, nie będą nigdy dobrymi czytelnikami Morcinka, który „nie uwzględnia" ani psychologicznych metod tworzenia, ani awanturniczości fabuły, ani wreszcie perwersyjności przeżyć swych bohaterów.

Życie śląskie obfitujące w moc zagadnień społecznych, nasycone nienawiścią zrodzoną z niewoli klasowej i narodowej, zostało przez Morcinka przedstawione najpełniej w jego wielkiej powieści „Wyrąbany chodnik". Stwierdzić należy, że zarówno w stosunku do Niemców i Czechów, jak i do swych polskich rodaków, zachował Gustaw Morcinek postawę artysty, który zawsze na wyżynach sztuki ma w sobie obok natchnienia poetyckiego sumienność, wnikliwość i bezstronność badacza. Wszelkie zarzuty, dotyczące rzekomo niesprawiedliwej postawy autora w stosunku do Niemców, uważam za bezpodstawne. Wystarczy zresztą przeczytać uważnie parę drobnych rzeczy Morcinka, żeby dostrzec przewijający się nieprzerwanie motyw Wielkiego Przebaczenia.

***

Ukazał się ostatnio drugi zkolei tom nowel Morcinka, „Chleb na kamieniu" (skład główny — Księgarnia „Dziedzictwo" w Cieszynie). Z pośród ośmiu, nierównej wartości, nowel tego zbioru na plan pierwszy wysuwa się wspomniany powyżej szkic — „Ondraszkowe ostatki", piękny opis ostatniego tańca i śmierci sławetnego zbójnika śląskiego. Rozmachem i barwnością utwór ten przypomina „Tańce Polskie" Stryjeńskiej, która tak wspaniale wyczarowała kolorem i linją urok polskich tańców. Tego samego dokonał Morcinek swą prozą sugestywną, działającą na czytelnika jak barwy i dźwięki, jak pełny nastrój polskiej zabawy ludowej.

Następną, co do jakości, jest nowela — reportaż „Na bieda — szybie". Ażeby dobrze zrozumieć tragizm tego utworu, trzeba, na podstawie innych nowel („Chleb na kamieniu", „Cisza", Sześć dni"), dobrze przypatrzeć się pracy Morcinkowego robotnika. Górnicy Morcinka — to nie najmici wrogo usposobieni do pracy. Przypominają mi oni żywo tych piekarzy z pracy dr. M. Balsigerowej („Społeczne Skutki Bezrobocia"), którzy dziedzicząc swój fach z pokolenia na pokolenie tak wżyli się weń, tak wrośli, że żyć bez niego nie umieją i nie chcą za nic innego się wziąć. Jeśli prosty wyrób chleba może być takiego zamiłowania powodem, to cóż mówić o górnikach, będących nie tylko rzemieślnikami, lecz jakby żołnierzami na froncie, których praca nie z samego trudu składa się, ale i z przygód, z niebezpieczeństw, z walki. W opowieściach Morcinka raz po raz trupa z kopalni wynoszą, co krok czyjeś ciało zasypane, — jednakże na opuszczony posterunek zgłosi się wnet do sztygara pięciu „ochotników na śmierć". Trudno dokładnie określić uczuciowy stosunek górnika do kopalni — przywiązanie? miłość? nienawiść?... Jakby nie było, górnik z kopalnią tak silnie jest związany, jak człowiek z życiem własnem, — niekiedy kocha je, niekiedy nienawidzi, jednak w obliczu możliwości utraty walczy zazwyczaj o nie, podobnie jak walczą bezrobotni Morcinka na bieda — szybie.

Nietylko z biedy, lecz przedewszystkiem z tęsknoty kopią Morcinkowi bezrobotni swoje szyby „własne" na cudzych, nieruszonych jeszcze terenach. W porównaniu do szybów „z prawdziwego zdarzenia" są to zabawki, niemniej jednak nawet taka powierzchowna z węglem zabawa śmiercią może się skończyć, albo walką z policją, albo pożarem.

Rozdzierający tragizm unosi się nad bieda - szybem, gdzie stęsknieni bezrobotni do pracy zaprzęgają nawet pudełka od konserw i kopią żółtą glinę, do węgla dążąc. Węgiel ów — to przecież czarność ich ciężkiego życia, znojny trud, dziedziczony od pokoleń, pełna cierpienia śmierć dziadów, ojców, braci... Ale oni, ci bezrobotni Morcinka, musem jakowymś gnani kopią i wiercą i cieszą się, gdy dokopali, — nie mogą inaczej.

Dzieci rosną, koty jedzą myszy, rozmnażają się dojrzali, starzy umierają, ptak lata, a górnik kopie. Przyrodę dziko-dziewiczą, zoologiczny mus ukazuje nam Morcinek, — przyrodę w cywilizacji, — mus w tęsknocie za pracą.

Jerzy Kornacki

POŻYTECZNA KSIĄŻKA O DALEKIM WSCHODZIE

W dobie dzisiejszej, kiedy oczy całego świata cywilizowanego zwrócone są w kierunku wypadków rozgrywających się w Mandżurji, kiedy Daleki Wschód staje się areną coraz to zaciętszej międzynarodowej walki politycznej i ekonomicznej, prace naukowe i literackie, traktujące o krajach Dalekiego Wschodu i wyjaśniające ich układ sił i możliwości gospodarcze, nabierają szczególnego znaczenia i specjalnych cech aktualności. Dotyczy to zwłaszcza Polski, której literatura wschodoznawcza w najmniejszej mierze nie odpowiada skali zainteresowania, jakie ten temat wzbudzać zaczyna wśród coraz szerszych mas ludności. Szczególnie dawał się dotąd odczuwać brak dzieła, któreby w przystępnej formie dawało całokształt wiadomości o Chinach i Japonji, o ich sytuacji gospodarczej oraz o ich roli, jako czynników życia politycznego i ekonomicznego na Dalekim Wschodzie.

Brak ten ostatnio świetnie wypełniła książka Władysława Komorowskiego p. t. „Daleki Wschód w międzynarodowej polityce gospodarczej", którą słusznie nazwać można encyklopedją podręczną w sprawach Dalekiego Wschodu.

W pierwszej części swojego dzieła autor daje krótki zarys historyczny rozwoju stosunków handlowych i dyplomatycznych pomiędzy Wschodem i Zachodem, umiejętnie akcentując znaczenie wydarzeń dziejowych większej wagi. Znajdujemy więc tu opis stosunków handlowych ze Wschodem od czasów biblijnych i fenickich, ocenę działalności podróżników i misjonarzy katolickich jako pionierów wschodoznawstwa w Europie i kultury zachodniej w Azji,

walkę Chin i Japonji w obronie swojej izolacji, streszczenie traktatów zawartych z niemi przez państwa cudzoziemskie i wreszcie kształtowanie się stosunków między Japonją i Chinami, jak również między każdem z tych państw, a Europą i Ameryką. Dla Rosji zarówno Carskiej, jak i Sowieckiej, ze względu na odrębny sposób penetracji na Daleki Wschód, autor rezerwuje rodziały specjalne, dając oświetlenie jej roli w Mandżurji i Mongolji, oraz rewolucji 1917 roku na rosyjskich terenach Daleko-Wschodnich. Krótki opis stosunków polsko-chińskich i polsko-japońskich zakańcza część pierwszą.

W części drugiej, trzeciej i czwartej kolejno omawiane są stosunki gospodarcze Chin z uwzględnieniem Mandżurji, Mongolji, Chińskiego Turkiestanu i Urianchaju (Tannu Tuwa), Japonji z Koreą, Formozą i Sachalinem i rosyjskiego Dalekiego Wschodu. Tu na uwagę zasługuje umiejętne streszczenie wiadomości, brak niepotrzebnych i nużących szczegółów oraz cytowanie tylko niezbędnych danych statystycznych, co nadaje dziełu duże walory literackie, czyniąc je równocześnie dostępnem dla czytelników niefachowych. Szczególnie barwnie opisaną jest Mongolja Zewnętrzna, jej ustrój dawny i obecny, życie i potrzeby ludności i współpraca chińsko-sowiecka na jej terenie. Opisy poszczególnych dziedzin przemysłu Chin i Japonji tworzą zakończony obraz ich stanu posiadania obecnego oraz zawierają uzasadnione wnioski dotyczące przyszłych możliwości gospodarczych tych krajów, jak również dróg w tym celu przez nie obranych. Każda z czterech części ponadto posiada na końcu spis dzieł podstawowych oraz prac ogłaszanych w czasopismach, traktujących o poruszanej dziedzinie, których ilość i wybór świadczą o poważnym i sumiennym stosunku autora do swojego dzieła.

Część piąta i ostatnia, zawierająca zarys międzynarodowej polityki gospodarczej Dalekiego Wschodu w fazie imperjalizmu powojennego, stanowi niejako próbę syntezy stosunków obecnych i wniosków na przyszłość i chociaż książka została napisana przed ostatniem wystąpieniem Japonji w Mandżurji, zawiera szereg trafnych uwag co do możliwości i celowości takiego kroku.

Do ujemnych stron książki zaliczyć należy zupełny brak wiadomości o Tybecie, Mongolji Wewnętrznej i obwodzie Chułun — Unirskim (Barga) oraz stosunkowo pobieżne potraktowanie Korei, Formozy i Karafuto. Należy również zaznaczyć, że sprawa transkrypcji polskiej wyrazów chińskich, aczkolwiek zupełnie słusznie omawiana w przedmowie, w tekście wytworzyła jednak pewien chaos, który może wprowadzić w błąd czytelnika niefachowego i robi nieprzyjemne wrażenie na specjalistach. Tak nprz. „dzian" w połączeniu „Jandzy — dzian" — autor oddaje przez dźwięk „cjan", a w połączeniu „Siń dzian" — przez dźwięk „dzian", cytując zaś klasyczną księgę „Szu-dzin" nazywa ją Szuczin, co nie odpowiada ani transkrypcji polskiej, ani żadnej cudzoziemskiej i t. p.

Są to jednak drobne usterki nieuniknione w tem stadjum początkowem, które przechodzi obecnie dalekowschodnia orjentalistyka polska. Miejmy nadzieję, że zostaną one usunięte w nowem wydaniu tej niezmiernie ciekawej i pożytecznej książki.

Konstanty Symonolewicz

SZAKALE

Z PAMIĘTNIKA WIELKIEJ WOJNY

15.X. 1914. Brak jakiejkolwiek władzy państwowej i administracyjnej sprzyja epidemji kradzieży wszelkiego rodzaju. Kradną wszystko: bieliznę, pościel, sprzęty domowe. Z obawy przed pożarami i wojskiem nieprzyjacielskiem, ludność przed ucieczką zakopywała w głębokich dołach nieraz całe swoje mienie, obecnie zaś doły tych właścicieli, którzy jeszcze nie powrócili lub przenieśli się w dalsze okolice — okradane są doszczętnie, szakale zaś dwunożne całemi bandami przenoszą się na pobojowiska, obdzierając poległych.

Przez całą noc ostatnią, dżdżystą, ponurą i złowieszczą, snuły się cienie złodziejskie, wlokąc z sobą co tylko się dało. Bezkarność potęguje rozkład z godziny na godzinę, nad wszystkiem zaś unoszą się opary zwyrodnienia. Przed świtem pobojowisko w Słomczynie stanowiło obraz niesamowity: trupy poległych przewracały się z boku na bok, sprawiały wrażenie, iż wracają do życia, próbując się dźwignąć i wykonywując jakieś ruchy przy pomocy rąk i nóg. Obdzierano poległych. Na widok tych oprawców przygodny widz kamieniał, zaczynał wątpić, czy zmysły działają normalnie, przecierał oczy, usiłując sprawdzić, czy w tej sinej mgle jesiennego brzasku poruszają się widma fantastyczne czy ludzie żyjący.

„Ma zgnić w ziemi, lepiej my zabierzemy!", oto dewiza, ukuta nagle, na poczekaniu, dla zagłuszenia sumienia, mająca usunąć wyrzut, wahania i usprawiedliwić w pewnym stopniu operację zdzierania butów, kurtek, szyneli i koszul nawet. Ostatecznie na miejscowym cmentarzu parafjalnym pochowano sto trzydzieści jeden zupełnie nagich trupów poległych.

Przed wieczorem dano znać, że w odległości kilkuset kroków leży kilkunastu jeszcze niepochowanych żołnierzy rosyjskich. O dobrym już zmierzchu udałem się na miejsce. W rowie przydrożnym na wznak leżało czterech żołnierzy, którzy najwidoczniej zginęli od odłamków szrapnela, wszyscy mieli szarpane rany głowy. Okazało się, że i nieco dalej na pastwisku, w odległości kilkudziesięciu kroków jeden od drugiego leżało jeszcze sześciu żołnierzy, którzy padli od kul karabinowych. Z dokumentów przy nich znalezionych, wynikało, że byli to Tatarzy i Rosjanie z Saratowskiej i Kazańskiej gubernji.

Obecni niektórzy mieszkańcy, przyjrzawszy się dobrze poległym, twierdzili stanowczo, że ci sami żołnierze nocowali w piecu fabrycznym i pomimo wyraźnego uprzedzenia i ostrzeżenia, że niedaleko w opłotkach usadowiła się już piechota pruska, — wyruszyli raniutko na gołe zupełnie pastwisko, na którem nie było ani wzgórka, ani nawet krzaczka najmniejszego. Tutaj też rychło śmierć znaleźli, wystrzelani przez Niemców jak kaczki.

Tymczasem noc zapadła. Gdyśmy się zastanawiali, czy bezzwłocznie przystąpić do kopania mogiły, dał się już słyszeć w oddali tętent koński i ukazał się wkrótce oddział kawalerji, zdążający w kierunku pozycji. Obawiając się, że wśród ciemności wzięci być możemy za obdzieraczy trupów i zastrzeleni na miejscu — odłożyliśmy pochówek na dzień jutrzejszy i udaliśmy się powoli plantem kolejowym do domu. Po drodze spotkaliśmy jeszcze jeden oddział ułanów pruskich, którzy minęli nas o nic nie pytając i nie zaczepiając. Nazajutrz też, t. j. w pią-

tek, udaliśmy się na to samo miejsce w celu pochowania zabitych. Zarządziłem zniesienie wszystkich poległych ułożywszy ich rzędem z bronią przy boku. Przez noc trupy zsiniały i rysy twarzy przybrały wyraz ostry, cierpiący. Przystąpiliśmy niezwłocznie do ceremonji pogrzebowej, kopiąc dół wspólny, zwany mogiłą i zwany bratnią. Pogrzeb ten ściągnął gromadki ciekawych, wśród których przeważały kobiety. Rozlegały się westchnienia, biadania i ciche szlochania.

Groza wojny i związane z nią przytępienie uczuć osłabia nad otwartą mogiłą działanie zadumy, rozprasza nastrój kontemplacji, związanej z tajemnicą śmierci. Otoczenie niezwykłe, huk armat i pośpiech narzucony przez niepewność i zmienność warunków miejsca i czasu nadawały ceremonji pogrzebowej raczej wygląd jakiejś czynności porządkowo-sanitarnej, niż uroczystego obrzędu i posługi religijnej. Żydówka jedna, w chwili, kiedy na ułożone rzędem na dnie grobu karabiny układano poległych — uderzyła w głośny krzyk i płacz spazmatyczny. Rozpacz jej była tak ogromna, że z boku nawet pytano, czy wśród chowanych ma kogoś bliskiego, ale działała tu jedynie wyobraźnia i obawy o męża jej, przebywającego gdzieś na wojnie. Wyobrażała sobie, że i on może, jako bezimienny, zagrzebany jest już w polu.

Przypomniały mi się tutaj słowa Montaigne'a, który uważał, że śmierć na polu bitwy jest mniej straszna, niż w domu. Zapewne, dziś na wojnie śmierć nawet znacznie szybciej przychodzi, postarała się o to nowożytna cywilizacja, wykształciwszy narzędzia zabójcze. Wskutek tego, prawdopodobnie, żołnierz umierając odrazu na miejscu, niema często świadomości śmierci i grozy jej. Ale stojąc nad mogiłą otwartą tych dziesięciu poległych i wpatrując się w zsiniałe, bólem ściągnięte twarze — myślę, że jeżeli mieli świadomość śmierci, — była dla nich nierównie straszniejsza niż w domu, nawet, jeżeli przypuszczać, że umierali w płomieniach ekstazy wojennej. Jeżeli może ktoś sądzić, że śmierć nie przeraża, tylko aparat straszny, którym ją otaczamy, gromnice płonące, rozpacz pozostających, trumna, śmiertelne obleczenie i t. d., — to dziś uważam, że śmierć bez zwykłych tych akcesorji, śmierć opuszczonych, pomordowanych, schodzących bezimiennie do grobu wspólnego w rozmiękłym od deszczu i krwi szynelu, — ma w sobie stokroć więcej grozy. Porusza ona nie tylko filozofów, humanitarnych społeczników i pacyfistów, ale i prostych, przez twarde życie często znieczulonych ludzi, którzy grzebiąc poległych uderzeni przerażającym majestatem tej śmierci — dochodzili do świadomości okropnego poniewierania człowieka.

Sądzić można było, że apologeci wojny podczas pokoju widzą dalej i więcej, niż jej przeciwnicy, pacyfiści, że są dziedziny, odkrywane przez wojnę, których nie dostrzegają humaniści, pozbawieni zmysłu wojennego. Pomijając materjalne skutki wojny, przewroty polityczne i gospodarcze, — owo teoretyczne „podniesienie duchowe ludzkości", ów osławiony hart i moc duchowa, której mamy pełne usta i uszy, — dziś wydać się muszą wartościami fikcyjnemi, których bronić mogą albo macherzy zainteresowani w kłamstwie politycznem, albo ideolodzy schyłkowych grup społecznych, którzy widzą odrodzenie przeszłości w kurzawie wojennej. Moralna pozytywna strona wojny jako cel albo jeden z celów jej — jest złośliwą odmianą politycznego fałszu, który osłania wszelkie inne dążenia warstw i kast rządzących w świecie.

Te pobojowiska wokoło, te niezliczone kałuże świeżej krwi ludzkiej, w których powinni właściwie przejrzeć się apologeci wojny — mimowoli wzbudzają wątpliwość co do samego człowieczeństwa natury ludzkiej i głęboką nieufność co do wewnętrznej wartości kultury nowożytnej. Nawet surowy sąd Plutarcha, który nie uważał, iżby przepaść między jednem zwierzęciem a drugiem była tak wielka, jak między jednym człowiekiem a drugim, — nie jest zbyt surowym wobec rzeczywistości.

Wojna, roznosząca dziś na szablach pokrowiec kulturalny, spowijający bestję ludzką, — przepaść tę pogłębia jeszcze, zaś przepaść, oddzielająca człowieka od zwierzęcia — zapełnia się w naszych oczach stosami pokrwawionych ciał ludzkich.

Henryk Lukrec

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Część publicystyki naszej pochowała już nieomal ustrój parlamentarny we Francji, a w każdym razie przepowiada mu krótkie życie.

Prorocy ci dostrzegli nawet wielką ofensywę monarchizmu we Francji i nadchodzącą faszyzację ustroju państwowego pod kierunkiem p. Tardieu.

Istotnie, wśród wydarzeń politycznych, które przeżywa ostatnio Francja, odezwał się gdzieś w jakiemś bulwarowem pisemku pretendent do tronu, książę Henryk de Guise i zaofiarował Francuzom swoje usługi.

Na serjo przecież tego nikt w Paryżu nie bierze, a do rojalistycznych wynurzeń przywiązuje się tam mniej wagi, niż u nas w kawiarni do manifestów Zygmunta IV.

Wyciąganie jakichś wniosków z literatury „camelots du roi" nie świadczy o znajomości terenu.

No, ale Tardieu... — powie ktoś. Tak, istotnie Tardieu po dłuższym absenteizmie pojawił się w pałacu Burbońskim; przy ostatnim kryzysie nawet rzucił dziennikarzom, wychodząc od prezydenta Lebrun'a skrzydlaty dowcip: „Zobaczycie, że za miesiąc znowu tu będę". Pozatem napisał artykuł i miał mowę, w których mówił o konieczności pewnych zmian w konstytucji francuskiej niezmienianej od 1881 r.

Cóż oznaczają te słówka i artykuły p. Tardieu? Przedewszystkiem, iż nie wierzy w trwałość gabinetu p. Daladi r'a i sądzi, że oparty na nietrwałej większości radykałów społecznych z socjalistami rząd dozna takiego samego kryzysu, jak dwa poprzednie gabinety Herriot'a i Paul Boncour'a.

A skoro tak, to za miesiąc kolejka leaderów frakcji (wśród niej p. Tardieu) defilować będzie w pałacu Elizejskim. Czy w tej kolejce p. Tardieu będzie kandydatem na premjera większości opartej na t. zw. „bloku narodowym", to wcale ze słów p. Tardieu nie wynika.

A gdyby nawet tak się stało, to stąd nie wynikałoby jeszcze, że rząd p. Tardieu zajmie się faszyzacją ustroju Francji.

Nie każda zmiana stałej konstytucji prowadzi koniecznie do wywrócenia prawa do góry nogami i zmiany ustroju. Na przykład, bardzo niedawno, izby Stanów Zjednoczonych uchwaliły niepostrzeżenie

„zmianę konstytucji", a raczej jednego jej artykułu. Mianowicie uchylono sędziwy i bez sensu w obecnych warunkach przepis, że nowo obrany w grudniu prezydent, ma objąć władzę dopiero w marcu, i przeniesiono to objęcie władzy na styczeń tak, jak tego wymagają warunki życia zupełnie odmienne od potrzeb końca XVIII wieku, kiedy układano pierwszą konstytucję Stanów Zjednoczonych, dotąd obowiązującą.

O takich samych zmianach mówił w swoich wystąpieniach p. Tardieu.

Jego projekt „zmiany ustroju", okrzyczany u nas jako zapowiedź szybkiej faszyzacji Francji, sprowadzał się do 4 punktów. (Cytuję według „Le Temps'a").

1. Odjęcie izbie prawa inicjatywy w sprawie wstawiania wydatków do budżetu.

2. Przyznanie prezydentowi prawa rozwiązania izby i zarządzenia wyborów w razie obalenia gabinetu przez izbę, a jednocześnie przedłużenie kadencji Izby.

3. Wprowadzenie do konstytucji — prawa referendum (odwołania się do wyborców w konkretnych sprawach) i przyznanie praw wyborczych kobietom.

4. Uznanie niedopuszczalności wyznawania doktryn antypaństwowych na służbie państwowej.

Z tych czterech też tylko ostatnia musi budzić wątpliwości, bo nie wiadomo, kto to będzie określał „antypaństwowość" doktryny. Panu Tardieu widocznie chodziło o jakieś ustawy wyjątkowe przeciw komunistom, które w praworządności francuskiej zmieścić się nie mogą.

Pierwsze trzy zasady, wysunięte przez p. Tardieu nie mają nic wspólnego z faszyzmem.

Francja istotnie przechodzi bardzo poważne chwile w swoim rozwoju. Powzięcie decyzji o utworzeniu rządu z udziałem socjalistów, lub bez nich w specjalnych warunkach umysłowości i kultury francuskiej, opartej na zmyśle oszczędnościowym ogromnych mas narodu, stanowi zadanie bardzo trudne.

Wielkie przesilenie gospodarcze, kryzys ustrojowy — muszą się dać we Francji głębiej może we znaki, niż gdzieindziej, bo w tym kryzysie oszczędności prywatne przestają stanowić gwarancję, przestają dawać dochód, zapewniający byt. Jest to dla francuskiego ciułacza i rentjera (nie wielkiego kapitalisty, lecz pracownika) paradoks nie do zniesienia.

Rozumie to zarówno socjalista francuski, który nie kwapi się do władzy, jak radykał, który zastanawia się, czy raz jeszcze w „jedności narodowej" bez socjalistów podjąć obronę ustroju gospodarczego, czy sprzymierzyć się z socjalizmem i wejść na drogę ewolucji tego ustroju.

Zrozumiałe jest w tym stanie rzeczy, że pomimo dwukrotnego obalenia gabinetów radykalnych przez socjalistów, pomiędzy temi dwiema grupami trwają stosunki dobrej przyjaźni i wyrozumiałości, której nie niszczy nawet ewentualna próba „jedności narodowej", gdyby p. Daladier miał uledz losom swoich dwu poprzedników.

Ale jakże daleko stąd do faszyzacji ustroju, w jakże innej płaszczyźnie odbywają się te wydarzenia, które symplistyczna publicystyka próbuje u nas tłómaczyć po swojemu!

***

Miarą poczucia prawa i kultury we Francji jest zapadły niedawno wyrok w procesie Henryk Guilbeaux.

W najbardziej ponurych czasach wielkiej wojny Guilbeaux redagował miesięcznik pacyfistyczny francuski w Genewie p. t. „Demain", zbliżył się z tymi, którzy w Kientalu i Zimmerwaldzie prowadzili „wojnę z wojną", wraz z nimi — bolszewikami rosyjskimi — przyjechał w słynnym zaplombowanym pociągu do Moskwy, tam znalazł się na służbie walczącej podówczas z Entente'ą władzy sowieckiej. Do Paryża popłynęły raporty o jego zdradzie stanu. Skazano go w sądzie wojskowym zaocznie na śmierć.

Teraz, zostając wierny swoim przekonaniom, Guilbeaux znalazł się w zatargu z władzcami Kremla i dobrowolnie oddał się w ręce władz francuskich.

Sądzono go za rzekomą zdradę stanu, wysłuchano wielu plotek i oszczerstw, przyjęto do wiadomości jego wyznanie wiary politycznej, wyraz wolnej myśli i... uniewinniono. Tu nad Wisłą ujrzeli w tem niektórzy przesadne podkreślenie zasad wolności politycznej, nad Sekwaną widziano w tem tylko sprawiedliwy wyrok sądu.

St. Gr.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Jestem bardzo starym czytelnikiem tygodników postępowych, mówię starym, bo czytywałem je niemal przez pół wieku. Brałem udział w wzlotach i upadkach jeszcze „Przeglądu Tygodniowego", później „Prawdy", „Głosu", „Społeczeństwa", „Ogniwa", „Widnokręgu", odczuwałem wspólnie z niemi ich bóle, nadzieje i radości. Chociaż sam nie sięgałem po pióro literackie, nie liczę bowiem kilku odezwań w sprawach zawodowych, — nie mniej jednak zawiązywały się węzły serdeczne między mną i gwardją pisarzy danego tygodnika, podobne do węzłów, które powstają na ławie szkolnej, w koloniach uniwersyteckich zagranicą lub na odległem wygnaniu. Przyznaję się, że od szeregu lat odczuwałem mocno brak takiego tygodnika, któryby swoim poziomem, poważną odwagą sądów i ideowością przypominał dawne lata. Ucieszyłem się, przeczytawszy kilka numerów „Epoki", w której spotkałem dawnych znajomych. Dziwiłem się, dlaczego nie dobrali się przedtem i nie poderwali na nowo sztandaru swojemi mocnemi i dzielnemi rękami. Niech mi wolno będzie jako staremu czytelnikowi powitać i choć nie znam ich osobiście uścisnąć im dłonie: pp. Andrzejowi Strugowi, Leonowi Wasilewskiemu, Józefowi Wasowskiemu, Henrykowi Lukrecowi, Wacławowi Rogowiczowi, Romanowi Zrębowiczowi, Janowi Muszkowskiemu. Innych poznaję teraz w „Epoce", ale też mnie interesują i cieszą, jak St. Czeczelnicki, Halina Krahelska. J. Kornacki i inni.

Ja myślę, że takie oznaki mogą być jedynie zachętą do wytrwania, chcę zapewnić Pana Redaktora, że wszystkich Autorów czytam i staram się stwarzać dla nich audytorjum. Jestem już wysłużonym prenumeratorem tygodników postępowych, niech że więc to stanowi tytuł do złożenia życzeń powodzenia i wyrażenia żywej radości, że w „Epoce" odradza się tradycja, którą ja, jako starzec już, który kiedyś za swe przekonania cierpiał, i jako warszawianin bardzo sobie cenię.

Z wysokim szacunkiem

Warszawa. *Dr. Józef Węgliński*

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Zofji L. w Toruniu. Cokolwiek zawiłe. Prosimy — jaśniej, prościej, bez stylistycznych nadzwyczajności.

Panu Michałowi L. w Częstochowie. „Działu rozrywek" nie wprowadzimy. Już nam proponowano i „kącik humorystyczny" i „trochę astrologji" i „porady w sprawach erotycznych". Nie po to zakładaliśmy „Epokę".

Pannie Stefanji G. w Krakowie. Pani „Wiersze sentymentalne" nie odpowiadają usposobieniu „Epoki". A jeżeli wolno sądzić, to i czytelnicy nasi nie popadliby „pod hypnozą słów kolorowych" w tę „błękitną zadumę". My tu sobie piszemy poprostu, jasno, zwyczajnie, po ludzku. Dobry rym i prawidłowy rytm, to jeszcze nie poezja.

Panu Karolowi M. w Toruniu. Dziękujemy.

Panu Ludwikowi L. w Bydgoszczy. Pisaliśmy o tem w poprzednim (7-ym) n-rze ‚Epoki".

Panu Janowi P. w Częstochowie. Książkę prof. Leona Chwistka p. t. „Zagadnienia kultury duchowej w Polsce", wydała księgarnia Gebethnera i Wolffa.

Panu Mieczysławowi St. K. w Łodzi. Wesołe, ale nie dla nas. Sądzimy, że można połączyć wesołość z kulturalnym smakiem. Ale niech się Pan nie martwi niejedno pismo wydrukuje.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Juljusz Kaden - Bandrowski: Mateusz Bigda. Tom II: Masło. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1933.

Władysław Rymkiewicz: Eksmisja. Powieść. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1933.

H. M. Stephenson: Pijemy dziś szklankami rum. Powieść. Przekład Janiny Sujkowskiej. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1933.

Mary Lee: U lotników. Z cyklu „Tak, to wielka wojna". Przekład R. Centnerszwerowej. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1933.

Michał Corwin: Tajemna walka. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1933.

EPOKA

niezależny posterunek myśli humanitarnej, placówka, broniąca praw człowieka i obywatela, trybuna myśli wolnej i bezpartyjnej, pismo, oświetlające najżywotniejsze sprawy naszych czasów, lektura poważna, przystępna i wszechstronna.

EPOKA

daje czytelnikom obfity materjał do rozważań, zdaje sprawę z obecnego stanu rzeczy we wszystkich dziedzinach twórczości i pracy, wskazuje drogi wiodące ku lepszej przyszłości.

W EPOCE

zamieścili dotychczas swe prace m. in.: *Boy-Żeleński, dr. F. Burdecki, Emil Breiter, Jadwiga Baranowska, Helena Boguszewska, prof. Leon Chwistek, Stanisław Czosnowski, St. Czeczelnicki, Marja Dąbrowska, Jan Dąbrowski, Tadeusz Garczyński, red. Witold Giełżyński, red. Stefan Grostern, dr. Włodzimierz Jampolski, Jerzy Kornacki, Halina Krahelska, Zygmunt Kmita, Jadwiga Krawczyńska, prof. Edward Lipiński, Henryk Lukrec, dr. Jan Muszkowski, Marja Milkiewiczowa, Wanda Melcer-Sztekkerowa, Zygmunt Michałowski Kazimiera Muszałówna, dr. Eug. Pragierowa, Wacław Rogowicz, Zygmunt Rusinek, Gustaw Simon, Jerzy Stempowski, Andrzej Strug, Janina Strzelecka, dr Mieczysław Szerer, Leon Wasilewki, Józef Wasowski, Alfred Wilecki, Roman Zrębowicz.*

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-103 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.